M. B. im. L. W. w Łodzi

W numerze: JAN KOPROWSKI Reportaż sentymentalny • EWA OSTROWSKA Co za wspaniała zabawa: ciuciubabka • MAREK WAWRZKIEWICZ Pamięć • Fragmenty pamiętników Aznavoura • Felietony • Zewsząd o wszystkim • Nowela kryminalna

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

37 (721)
12. IX. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

APOLONIUSZ ZAWILSKI

Pod Mokrą i Ostrowami

JEŚLI słuszny jest pogląd, że w ciężkich zmaganiach z agresją wroga w trzydziestym dziewiątym roku najlepiej egzamin swój zdała polska kawaleria, to prawda ta odnosi się w pierwszym rzędzie do Wołyńskiej Brygady Kawalerii w czasie jej pierwszych dwóch dni walk, a szczególnie całodziennego boju z siłami głównymi 4 dywizji pancernej generała Reinhardta pod Mokrą.

Pod Mokrą, a następnego dnia pod Łobodnem i Ostrowami, niemieckiej dywizji, liczącej 13 tysięcy ludzi, 324 czołgi i 101 samochodów pancernych przeciwstawiła się skutecznie polska jednostka konna pułkownika dypl. Juliana Filipowicza, o połowę mniejsza, wsparta zaledwie 16 działami i 30 działkami przeciwpancernymi oraz 24 czołgami (z czego tylko 12 tankietek uzbrojonych w enkaemy). Główna siła ognia brygady sprowadzała się do ręcznej broni przeciwpancernej oraz broni maszynowej: 105 rusznic ppanc., 96 cekaemów i 129 erkaemów, nie uwzględniając karabinów powtarzalnych. Broń ta, jak się okazało, była skuteczna, tyle że wymagała od żołnierzy wielkiego hartu ducha, nieustraszonej odwagi i determinacji.

Wołyńska Brygada Kawalerii w składzie 21 i 19 pułku ułanów oraz 2 pułku strzelców konnych zmobilizowana została na Wołyniu 14 sierpnia i przerzucona transportami kolejowymi w rejon Brzeźnicy Nowej na południowe skrzydło armii „Łódź", celem jego osłony, rozpoznawania nieprzyjaciela, a następnie jego opóźniania. 28 sierpnia brygadę przesunięto w trybie alarmowym w bezpośrednie pobliże granicy do lasów między Kłobuckiem i Liswartą. Wobec rozległości terenu i zadań brygada otrzymała jako wzmocnienie 12 pułk ułanów Podolskich pułkownika Kuczka, IV batalion 84 pp. i pociąg pancerny nr 53. Własny organiczny batalion strzelców organizował się dopiero pod Łobodnem.

Brygada obsadziła dwoma pułkami kawalerii (19 i 21) północno-zachodni i zachodni skraj lasu z rozległą polaną Mokra, na której znajdowała się potrójna miejscowość tejże nazwy: Mokra I, II i III. Tylko naprzeciw Mokrej III widniała przerwa leśna, bardziej dostępna dla broni pancernej. Główną linię oporu w tej przerwie obejmuje 4 szwadron 21 pułku ułanów porucznika Karola Kantora, w prawo rozwija się 2 szwadron. Przed skrajem lasu na wzgórzu zajmuje stanowiska 3 szwadron rotmistrza Bolesława Deszerta, plutony 1 szwadronu ubezpieczają skrzydła i patrolują przedpole. Całość pod dowództwem z-cy d-cy pułku majora S. Strzeleckiego. W przerwie leśnej mieści się gros broni ciężkiej: 3 działka ppanc. i 8 cekaemów. Porucznik Kantor urządza w rowie melioracyjnym dwa silne gniazda oporu. Pod maską soczystej zieleni z granatami w ręku i rusznicami przeciwpancernymi przy policzku zaczaili się wstrzymując dech w piersi ułani 4 szwadronu.

Dalszy ciąg na str. 4

JERZY WILMAŃSKI

Sopot czyli jest jak jest

Pilnie — jak Polska długa i szeroka — śledziłem i ja przebieg wszystkich festiwali sopockich. Oczywiście — przy telewizorze. Tym razem jednak wybrałem się zobaczyć jak to wygląda z bliska. Na festiwale bowiem od lat dziesięciu narzeka prasa, telewidzowie i słuchacze — ale jest z Sopotem tak jak z „Przekrojem" — od lat mówimy, że się popsuł i od lat kioskarze sprzedają go spod lady.

Na festiwal czekamy, siedzimy do późnej nocy przy telewizorach, żeby nieodmiennie stwierdzić — „słabo było w tym roku..." I czekamy do roku następnego.

Więc pojechałem do Sopotu, ażeby rzecz całą zobaczyć u źródła, dogrzebać się sensu i barw tej imprezy. Oczywiście nie dogrzebałem się żadnego sensu i żadnych barw. To jest po prostu bardzo sympatyczna impreza. Nie mogę użyć określenia — wartościowa, potrzebna, znacząca itp. — używam więc słowa, które coś tam mówi, choć mówi nieprecyzyjnie.

Jeśli ktoś się doszuka sprzeczności w tych paru zdaniach, które napisałem powyżej — niech się przygotuje na to, że takich sprzeczności będzie więcej. Festiwal Sopocki jest bowiem w ogóle imprezą tak pełną sprzeczności i paradoksów, że pisać o nim inaczej wydaje mi się nietaktem.

A w ogóle myślę, że jako ludzie dorośli nie powinniśmy piosenki traktować zbyt poważnie — zwłaszcza, że nie chodzi nam o forsę. O forsę chodzi wyłącznie tym kilkudziesięciu panom jurorom i obserwatorom. My jesteśmy wolni od

Dalszy ciąg na str. 8

Z kraju

OBRADUJĄCE w sobotę — 4 września, XI plenarne posiedzenie KC PZPR, powzięło dwie niezmiernie ważne uchwały: o zwołaniu na 6 grudnia bieżącego roku VI Zjazdu partii i sposobie wyboru delegatów oraz o przyjęciu wytycznych: „O dalszy socjalistyczny rozwój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" i poddaniu ich pod ogólnopartyjną i ogólnonarodową dyskusję. Tak więc rozpoczął się okres bezpośrednich przygotowań do Zjazdu, przyśpieszonego w stosunku do upływu kadencji Komitetu Centralnego o prawie rok. Celowość owego przyspieszenia wynika z decyzji VII i VIII Plenum KC. Korekta polityki partii, naprawa błędów, jakie narastały w okresie przedgrudniowym — wymaga nie tylko doraźnego działania, ale i opracowania długofalowego, wieloletniego programu. Do przyjęcia zaś takiego powołany jest tylko Zjazd.

Jak wiadomo, kierownictwo partii i rządu podjęło w ciągu minionych 9 miesięcy wiele decyzji mających na celu zapewnienie stałego wzrostu spożycia oraz systematyczną poprawę bytowych, socjalnych i kulturalnych warunków życia społeczeństwa. Dokonano niezbędnych zmian w proporcjach rozwojowych kraju. Pod kątem przesunięcia większych środków na rzecz wzrostu spożycia skorygowano bieżący plan 5-letni. Jednak, chociażby ze względu na konieczność kontynuowania rozpoczętych wcześniej inwestycji, manewr musiał być ograniczony. W okresie pięcioletnim, zbyt krótkim na wielkie gospodarcze zmiany, nową politykę społeczno-ekonomiczną można zaledwie zapoczątkować. Niezbędny jest zatem program wieloletni i taki przedyskutowany zostanie na Zjeździe. Przed tym jednak, w ciągu trzech miesięcy dzielących nas od 6 grudnia, toczyć się będzie w całym kraju powszechna dyskusja. Jej podstawą będą wytyczne, które właśnie uchwalił Komitet Centralny. Jest to obszerny dokument, kompleksowo podejmujący najważniejsze problemy naszego życia. Nie nazwano go, jak to bywało poprzednio, tezami, lecz wytycznymi. To istotna i wcale nie tylko werbalna różnica. Mówił o tym w czasie obrad XI Plenum Edward Gierek. Przytoczmy jego słowa:

„Zrezygnowaliśmy... z tradycyjnej formy tez przedzjazdowych, które z reguły zawierały szczegółowy i zamknięty projekt założeń planu gospodarczego na najbliższe pięciolecie. Projekt taki był najczęściej mało czytelny dla partii i społeczeństwa, raczej informował o tym, co będzie zrobione niż zachęcał do rozważań, dyskusji i działania. W wytycznych przedłożonych dziś pod obrady Plenum, zgodnie z potrzebami i postulatami społecznymi, staraliśmy się natomiast przedstawić analizę najważniejszych problemów, przed którymi stoi nasz naród, nasze państwo i nasza partia".

Wytyczne formalnie przygotowała Komisja Zjazdowa. Formalnie, gdyż praktycznie powstały one w wyniku kilkumiesięcznej pracy szerokiego grona aktywu partyjnego i bezpartyjnego, przy udziale licznych ekspertów, wykorzystując wiele analiz i wniosków załóg fabrycznych, środowisk społecznych i głosów z dyskusji prasowej. Mimo to przedstawiane są one społeczeństwu zaledwie jako projekt, często ujęty alternatywnie, zaadresowany wręcz do uczestników dyskusji przedzjazdowej, aby tę czy inną kwestię swymi głosami przesądzili.

Od zasięgu, przebiegu i celności dyskusji, od inicjatywy kolektywów społecznych zależeć więc będzie ostateczny kształt programu kraju, którego elementy przynoszą wytyczne, zatytułowane lakonicznie: „O dalszy socjalistyczny rozwój kraju".

Ta ogólnonarodowa dyskusja toczyć się będzie również na łamach prasy. Otwieramy je także w „Odgłosach". Jest nad czym i o czym dyskutować.

Ze świata

ZJEDNODNIOWĄ zwłoką, oficjalnie uzasadnioną chorobą ambasadora Ruska, praktycznie zaś spowodowaną trudnościami przy ostatecznym zredagowaniu niemieckiej wersji dokumentu (rosyjska, angielska i francuska gotowe były wcześniej) — 3 września podpisane zostało porozumienie czterech mocarstw w sprawie Berlina. Jest to po Układzie Poczdamskim najważniejszy dokument, a raczej zbiór dokumentów (składają się nań: zasadnicze porozumienie, 5 załączników, protokół końcowy, 2 noty — mocarstw zachodnich do ZSRR i Związku Radzieckiego do mocarstw zachodnich oraz 2 uzgodnione protokóły rokowań), dotyczący problemu niemieckiego. Lektura tych obszernych dokumentów które w „Trybunie Ludu" zajęły całą stronę, prowadzi do dwóch zasadniczych wniosków: potwierdzona została w pełni prawno-międzynarodowa odrębność Berlina Zachodniego oraz stworzona została platforma do szczegółowego porozumienia między dwoma państwami niemieckimi na temat dostępu do tego miasta.

O znaczeniu porozumienia berlińskiego, w rezultacie którego usunięte zostały przeszkody na drodze do ratyfikacji układów NRF ze Związkiem Radzieckim i Polską, a w następstwie — zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji, pisaliśmy w ub. tygodniu. Wydarzenie to wpisuje się na listę, niestety — niezbyt długą, faktów, służących odprężeniu w stosunkach Wschód — Zachód. Oto najważniejsze kartki tego powojennego kalendarium:

1954 r. — umowa genewska w sprawie Wietnamu, Kambodży, Laosu.
1955 r. — porozumienie czterech mocarstw w sprawie zakończenia okupacji Austrii.
1962 r. — uruchomienie „gorącej linii" między Moskwą a Waszyngtonem, która w pięć lat później — w 1967 r. — wykorzystana została do zapobieżenia bezpośredniej konfrontacji wielkich mocarstw po agresji Izraela na kraje arabskie.
1963 r. — podpisanie układu o częściowym zakazie dokonywania prób z bronią jądrową.
1968 r. — zawarcie układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej.
1969 r. — rozpoczęcie, do dziś kontynuowanych z pewnym postępem, rozmów między ZSRR i USA na temat broni strategicznej (SALT).
1970 r. — podpisanie układów przez ZSRR i Polskę z NRF.

Tak więc porozumienie na temat Berlina Zachodniego jest ó s m y m najważniejszym faktem na drodze rozładowywania napięcia w świecie w ciągu 26 powojennych lat. Już to samo określa międzynarodowe znaczenie porozumienia.

Ub. tydzień przyniósł jeszcze jeden liczący się fakt: w następstwie referendum w Egipcie Syrii i Libii, które potwierdziło gotowość mieszkańców tych krajów sfederowania się, powołana została do życia Federacja Republik Arabskich. Blisko połowa wszystkich Arabów połączona została w ten sposób ujednoliconą polityką oraz wspólną konstytucją. Federacja Republik Arabskich gospodarczo, politycznie i militarnie stanowić będzie w rejonie bliskowschodnim poważną siłę, oddziaływającą na cały świat arabski.

Trudno dziś przewidzieć, jak potoczą się dalsze wydarzenia. Wielu komentatorów uważa, że niedaleki jest czas, kiedy w Federacji na czoło wysunie się 30-letni przywódca Libii — płk. Kadafi, radykał i nacjonalista w jednej osobie. Jeśli rzeczywiście miałby on zająć w świecie arabskim miejsce Nasera — świat ten mógłby się znaleźć na pewnym zakręcie. Obecnie jednak w Federacji najważniejszą rolę spełniać będzie na pewno Egipt, który oficjalnie zmienił nazwę ze Zjednoczonej Republiki Arabskiej na Egipską Republikę Arabską.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ●

Opiumowa wojna

„RAMPARTS" — SAN FRANCISCO

W Stanach Zjednoczonych jest 500 tysięcy nałogowych narkomanów, niewolników heroiny. Spośród nich niemal 20 proc. ma zaledwie 20 lat. Wskutek zażywania heroiny umiera w USA więcej ludzi — w wieku od 18 do 35 lat — niż ginie w nieszczęśliwych wypadkach, w wyniku samobójstw, czy umiera na raka. Heroina wpływa na wzrost przestępczości: narkomani wydają w USA ponad 15 milionów dolarów dziennie na zaspokojenie tego zgubnego nałogu. Połowę tej sumy zdobywają w drodze przestępstw.

Heroina rozprzestrzenia się po całym kraju w tempie błyskawicznym. W małych miasteczkach amerykańskich, zamieszkałych przez „klasę średnią", zażywanie heroiny jest równie naturalne, jak, powiedzmy, tradycyjna gościnność. Nawet prezydent Nixon przyznaje, że heroina szerzy się w Stanach, „jak straszliwa epidemia. Nie jest tajemnicą, że uczniowie robią sobie zastrzyki z heroiny po prostu w szkołach, w czasie przerwy na drugie śniadanie i pozostałe lekcje odbębniają w stanie narkotycznego oszołomienia.

W tym wszystkim nie widzą jednak Amerykanie odwrotnej strony medalu. W Stanach Zjednoczonych nie byłoby takiej eksplozji narkomanii i wywołanej przez nią przestępczości, gdyby nie międzynarodowy handel opium na niespotykaną dotąd skalę. (Opium jest wyjściowym produktem heroiny) oraz szybkie rozpowszechnianie się heroiny w Stanach, które jest bezpośrednio związane z wojną USA w Indochinach.

Związek pomiędzy wojną i opium w Azji ma długą historię. Jednak nigdy nie był on tak dalece ścisły i wszechstronny, i nie miał tak poważnych następstw, jak dzisiaj. Jeszcze nigdy żadna tragedia narodowa nie pozostawiła aż tak głębokich śladów w południowo-wschodniej Azji, jak obecna interwencja amerykańska. Stały wzrost międzynarodowej kontrabandy tym narkotykiem pozostaje w ścisłym związku z narastającą interwencją wojenną USA w Indochinach. Amerykańskiej wojnie w Wietnamie, od samego jej początku, towarzyszą nieprawdopodobne paradoksy, ale dziś przechodzą one wszelkie pojęcie. Oto w tym samym czasie, kiedy oficjalne czynniki rządowe USA z rozpaczą załamują ręce, rozważając problem heroiny, amerykańscy spece od ciemnych interesów rozwijają w Azji nielegalny handel narkotykami na skalę, o jakiej nawet się nie śniło autorom powieści fantastycznych. Właśnie wskutek machinacji owych facetów spod ciemnej gwiazdy, centrum handlu opium przemieściło się teraz z Bliskiego Wschodu do południowo-wschodniej Azji. Każdego dnia powstają tam coraz to nowe kanały przemytu narkotyków do USA. W tym samym czasie, gdy rząd amerykański zabiega usilnie o leczenie młodocianych narkomanów, wysyłani — przez tenże rząd USA — do Wietnamu młodzi żołnierze stają się niewolnikami tego zgubnego nałogu i umierają od nadużywania narkotyków, średnio po jednym dziennie. Jakie siły odgrywają główną rolę w tej prawdziwej opiumowej wojnie? Przede wszystkim wszechmogąca Centralna Agencja Wywiadowcza. Udział CIA w eskalacji wojny w Wietnamie jest ogólnie znany, natomiast jego wiodącą rolę w handlu opium utrzymuje się przed amerykańskim społeczeństwem w ścisłej tajemnicy. Obok CIA, w tym głęboko zakonspirowanym biznesie bierze udział cały łańcuch odrażających band i indywiduów, kreatur USA, poczynając od najemnej „opiumowej armii" na północy Syjamu, utrzymywanej przez reżim czangkajszekowski, a kończąc na obecnym sajgońskim „wiceprezydencie" Nguyen Kao Ky.

Duże ilości opium (surowca), w południowo-wschodniej Azji hoduje się w rejonie tzw. „trójkąta urodzaju" na terytorium obejmującym południowo-zachodnią Birmę, północny Syjam i Laos. Mak opiumowy uprawiają i produkują górale ze szczepu Meo. Mak opiumowy jest ich jedynym źródłem dochodów. Za kilogram opium otrzymują górale Meo 50 dolarów w złocie, w srebrze, względnie w towarach lub w miejscowej walucie. Ów kilogram narkotyku będzie wnet odsprzedany w Sajgonie za 200 dolarów, a następnie w San Francisco za dwa tysiące dolarów.

Ta kontrabanda w południowo-wschodniej Azji odbywa się setkami zakamuflowanych dróg. Jednakże trzy główne marszruty stanowią w tej sieci układ podstawowy: pierwsza wiedzie z Birmy i północnego Syjamu do Bangkoku, następnie do Singapuru i Hongkongu i stąd wreszcie — wojskowymi samolotami armii amerykańskiej — do USA (niekiedy z lądowaniem na Tajwanie). Druga, chyba główna droga przerzutu, wiedzie przez Birmę lub Laos do Sajgonu oraz do innych punktów kontrabandy na wybrzeżu Zatoki Tonkińskiej. Stąd przedostają się narkotyki do USA via Bliski Wschód i Marsylia, albo przez Ocean Spokojny. Trzecia na koniec prowadzi z rejonów dyslokacji czangkajszekowców w Syjamie — na Tajwan i dalej, prosto jak wystrzelić — do zachodnich wybrzeży USA.

Jednym z najgłośniejszych, w tej części świata, handlarzy opium jest niejaki Czan Czu-fu, na poły Chińczyk, na poły Szan (mniejszość narodowa w Birmie). O przygodach tego awanturnika, jego subtelnych manierach i drapieżnym okrucieństwie krążą legendy.

Przerzut opium z Birmy do Syjamu jest operacją trudną i niebezpieczną. Karawana Czan Czu-fu, rozciągająca się nieraz na przestrzeni paru kilometrów, składa się przeciętnie z 200 mułów, 200 tragarzy, 200 kucharzy i służby oraz 400, po zęby uzbrojonych strażników. Taka karawana transportuje jednorazowo od 15 do 20 ton opium. Towar ten kupują od Czana na pniu zakonspirowane syndykaty przemytników w Laosie lub Syjamie, płacąc zań milion dolarów.

Ale Czan też musi się opłacać czangkajszekowcom, kontrolującym kluczowe odcinki trasy karawany. Rzecz polega na tym, iż niedobitki 93 dywizji czangkajszekowskiej, które w 1949 roku uciekły z Chin do Birmy, dotąd pozostają na żołdzie reżimu tajwańskiego. Ci byli żołnierze — dziś zorganizowana banda zbrojna — trudnią się skupywaniem opium od górali i odsprzedażą, a także ściąganiem haraczu od przemytników opium kalibru Czan Czu-fu. Wiadomo również, co stwierdzają zresztą naoczni świadkowie, że „dorabiają" sobie również na szpiegowskich misjach w Birmie i Chinach, wykonywanych na zamówienie CIA.

Rząd Birmy już niejednokrotnie interweniował w ONZ i zwracał się bezpośrednio do rządu USA i reżimu tajwańskiego z żądaniem zaprzestania pomocy byłej kuomintangowskiej soldatesce. W 1959 roku birmańskie władze wojskowe wykryły trzy duże przedsiębiorstwa, przerabiające opium oraz lotnisko, na którym czangkajszekowcy przyjmowali samoloty, przybywające z Tajwanu. W lutym 1961 roku wojska birmańskie zepchnęły tę czangkajszekowską bandę do rejonu na styku granic Birmy, Laosu i Syjamu. Tam też znajduje się do dziś osiem umocnionych osad czangkajszekowców. Czank Kaj-szek dostarcza im nie tylko broń i inny sprzęt wojskowy, ale także ludzi, aby utrzymać liczebność tego „podpartyzanckiego kontyngentu", na poziomie 5—7 tysięcy żołnierzy. Syjam, z różnych względów, przymyka oko na obecność tych intruzów. Między innymi dlatego, że czangkajszekowcy pomogli Bangkokowi i Amerykanom w stłumieniu ruchu powstańczego górali, wyszkolili oddziały do walki przeciwko powstańcom oraz regularnie płacą żołd syjamskiej policji granicznej, sformowanej w latach pięćdziesiątych przy pomocy CIA.

Któregoś razu Czan Czu-fu zorganizował na terytorium Birmy dużą karawanę, składającą się z 300 tragarzy i 200 mułów z 9-tonowym bagażem opium. Uzbroiwszy ją po zęby, spróbował Czan uchylić się od zapłacenia czangkajszekowcom ustalonego haraczu, czyli tzw. „tranzytowej opłaty celnej" w wysokości 80 tysięcy dolarów. Czangkajszekowcy urządzili zasadzkę w pobliżu laotańskiej wsi Banhuesai. Wywiązała się prawdziwa bitwa. Ani jedna, ani druga strona nie spodziewały się, że do walki wtrącą swoje trzy grosze gospodarze miejscowej sieci handlu opium — wojska laotańskie, utrzymywane przez CIA i pozostające pod dowództwem generała Uone Ratikona. Otóż generał przerzucił natychmiast na teren starcia dwa bataliony wojsk i skierował na wioskę Banhuesai wszystkie swoje samoloty z rozkazem rozproszenia obu walczących stron. W wyniku tej akcji zginęły dziesiątki czangkajszekowców i Birmańczyków, a w ręce oddziałów gen. wpadło pół tony drogocennego opium. Wkrótce po tym incydencie, generał Rarikom na spotkaniu z dziennikarzami nawet nie próbował umniejszyć swojej roli w handlu narkotykami.

Właścicielami przedsiębiorstw, trudniących się przerobem opium na heroinę są również i inni przedstawiciele laotańskiej „elity władzy". Na przykład urządzenia do oczyszczania heroiny znajdują się w Vientiane (o dwie przecznice od rezydencji królewskiej), w Luangprabang, na wyspie Khong) na rzece Mekong, na granicy laotańsko-kambodżańskiej) itd. Taką właśnie „fabryczkę" wybudował sobie niedawno w miasteczku Fakhaokhuai, na północ od Vientiane, generał Kuprasit Abhai, dowódca wientiańskiego okręgu wojskowego... Handlem narkotykami trudni się książę Bun Um (w południowym Laosie) oraz rodzina Sananikone — „Rockeffellerzy Laosu". Prywatna kompania lotnicza „Viecha Akhat" — własność rodziny Sananikone — wynajmuje na Tajwanie samoloty i lotników do przeprowadzania operacji przemytniczych z góralami, hodowcami surowca opium.

Dalszy ciąg nastąpi

● Zewsząd o wszystkim ●

W następnym numerze „Odgłosów":

- **F. BĄBOL — Murarskie poniedziałki**
- **T. CHRÓŚCIELEWSKI — Przybysz z Arkadii**
- **A. GRUN — Martwa rzeka**

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

JAN KOPROWSKI

Reportaż sentymentalny

Czy pamiętacie starą, zabawną farsę Ruszkowskiego „Wesele Fonsia?" Otóż bohater tej sztuki powiada w pewnym miejscu: *„Mój ojciec to prawdziwy światowiec. On i w Częstochowie i w Radomiu bywał"*.

Dawno już nie odwiedzałem Radomia, a przecież mam powody, by go wspominać jak najlepiej. Tutaj w 1934 roku (Boże, jak to strasznie dawno) drukowałem swoje pierwociny literackie na łamach „Głosu wsi" i „Gazety robotniczej". Oczywiście były to rzeczy nędzne, nie warte torby sieczki, ale przypomniałem je sobie teraz, gdym w sierpniowe upały jechał do tego miasta w odwiedziny. Przypomniało mi się również, że przed wojną mieszkał w Radomiu Stanisław Skoneczny, poeta, późniejszy pułkownik partyzantki, działający w lasach iłżecko-radomskich, po wojnie osiedlony w Krakowie. W 1939 roku zaczął on wydawać w Radomiu miesięcznik literacki „Żagwie", w którym piszący te słowa zamieścił wiersz „Do Michała Szołochowa", a napisany dla tegoż pisma reportaż z wędrówek po ziemi kieleckiej nie zdążył się ukazać po prostu dlatego, że wcześniej wybuchła wojna niemiecko polską.

Radom nie jest miastem pięknym, przypomina trochę Łódź, nie grzeszącą — jak wiadomo — nadmiarem urody, ale są miasta, w których nie szukamy piękna architektonicznego i zabytków przeszłości, lecz siebie z lat minionych i ludzi nam przyjaznych. Wszelako jest Radom miastem starym i wyjątkowo licznymi wydarzeniami wpisanym w historię Polski. Wystarczy zajrzeć do starego Orgelbranda, aby się przekonać jak chętnie przebywali tam królowie (szczególnie królowe), ile odbywało się tam trybunałów i sejmików i jakie ważne uchwały i postanowienia różnymi czasy podejmowano. Stare encyklopedie tym górują nad nowymi, że są w nich informacje, których próżno szukać gdzie indziej. W Orgelbrandzie czytamy, na przykład: „Początkowo miało być (miasto Radom — przyp. mój) tylko prostem oszańcowaniem, w którem się starszyzna lacka na wiece zbierała i z tego powodu opole to jakby R a d y d o m e m nazywano, a z tego miało powstać nazwisko Radomia".

Dziś Radom stanowi największe skupisko przemysłu na ziemi kieleckiej, wśród wielu fabryk, zatrudniających ponad 35 tysięcy ludzi, znajduje się również wytwórnia papierosów (mój ojciec przenosi „Sporty" radomskie nad inne), i liczy o 40 tysięcy mieszkańców więcej niż siedziba wojewódzka — Kielce. Fakt, że nie Radom stał się stolicą województwa, jest kamieniem obrazy dla wielu mieszkańców miasta, którzy uważają, że ma ono wszelkie tytuły do pełnienia tej roli. Ale nasi krewni i znajomi nie cierpią na wspomnianą dopiero co dolegliwość. Dla nich ważne jest to, że mają tutaj prace i mieszkanie, a młodzi myślą już o przenosinach do nowego osiedla, które przedstawia się bardzo nowocześnie i leżąc u wylotu głównej magistrali, przybliża Radom ku Warszawie, z którą zresztą ma doskonałe połączenia kolejowe i, zwłaszcza, autobusowe.

Spacer po mieście w lato stulecia (które — gdy to piszę — ma się już, na szczęście, ku końcowi), po jego ruchliwych i pełnych młodzieży ulicach dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że Radom to gród prężny i z wielkimi perspektywami rozwojowymi. Działają tu wszelkie niezbędne instytucje użyteczności kulturalnej, a Klub Międzynarodowej Prasy i Książki może być wzorem dla wielu tego rodzaju placówek w kraju. Kto nie wierzy, niech pojedzie i zobaczy.

W naszym spacerze natrafiamy co rusz na tablice, upamiętniające sławnych ludzi i ich związki z miastem. Więc przede wszystkim Jacka Malczewskiego, który się tu urodził (1854) i jakiś czas mieszkał. Wlastimil Hofman, uczeń Malczewskiego, opowiadał mi o nim pyszną anegdotę. Malczewski nakazywał swoim podopiecznym malować wciąż modelki. Pamiętam — wspominał Hofman — siedzi sobie taka jedna imieniem Rózia. Narysowałem ją jak umiałem najlepiej. Przyszedł Malczewski, popatrzył na rysunek i powiedział: „Ładnieś pan to zrobił, cóż z tego, kiedy ona nie s i e d z i na dupie". Na innym domu (przy ul. Nowotki) tablica przypominająca, że tu 12 czerwca 1915 roku zmarł Józef Brandt, znakomity malarz scen batalistycznych, autor takich obrazów, jak Odsiecz Wiednia, Chodkiewicz pod Chocimiem i Konfederaci barscy. Jeszcze gdzie indziej przeczytamy, że „tu żył i tworzył literat i historyk Walery Przyborowski". Któż z nas, młodzikiem będąc, nie czytał z wypiekami na twarzy jego „Szwedów w Warszawie", „Szwoleżera Stacha", czy „Bitwy pod Raszynem". Słowo „historyk" na tablicy nie jest żadną przechwałką jej autorów, gdyż Przyborowski napisał kilka, dziś już doszczętnie zapomnianych, prac badawczych o powstaniu styczniowym.

Nie wiem, czy przechodzień, zatrzymujący się przypadkowo pod tą tablicą, pamięta, co Przyborowski powiedział kiedyś o swoim rodzinnym mieście. Oto jego słowa: *„Są dwa miasta, które lubię nade wszystko — Radom i Kielce. Ale gdyby mi przyszło wybrać tylko jedno z nich, to chyba Radomiowi dałbym pierwszeństwo"*.

II.

Do Kazimierza nie pociągnęła nas ani uroda tego miasteczka, ani Wisła pięknie tu płynąca, ani inne cuda krajobrazu. Pojechaliśmy, aby odwiedzić Marię i Jerzego Kuncewiczów, którzy po siedmiomiesięcznym pobycie w Stanach Zjednoczonych, zawitali znowu do swego domu w Kazimierzu. Pani Maria, autorka niezapomnianej „Cudzoziemki" i „Tristana 46", wydała właśnie nową książkę „Fantomy". Jesteśmy z Felicją pod urokiem tej książki, a nasz syn Marek, który towarzyszy nam w podróży, zagląda do niej z niecierpliwym zainteresowaniem. Byliśmy tutaj przed rokiem, ale przez ten czas zdarzyło się tyle nowych rzeczy, że jest o czym mówić. Siedzimy na werandzie, pijemy koniak, słońce chyli się ku zachodowi, a kiedy już zupełnie utonie za lasem, przeniesiemy się na górę do pokoju, który tak dobrze znamy, na znakomitą angielską herbatę. Pisarze rozmawiają najczęściej (i najchętniej) o literaturze tak jak zegarmistrze o zegarkach, aktorzy o teatrze, a esperantyści o języku esperanto. I jeśli nawet ktoś twierdzi, że tak nie jest, nie należy mu wierzyć. Dzieło pisarza żyje, jeśli zdobywa sobie wciąż nowych odbiorców i budzi zainteresowanie krytyki. Gmina czytelnicza książek Marii Kuncewiczowej jest ogromna, a krytyka? W ostatnim roku mamy do odnotowania trzy prace o autorce „Cudzoziemki". Dwie wyszły spod pióra pracownika oddziału krakowskiej Akademii Nauk: jedna dotyczy całości dorobku Kuncewiczowej, druga — zajmuje się „Gajem oliwnym". Trzecia pozycja jest pracą magisterską, złożoną w Uniwersytecie Łódzkim i poświęconą elementom muzycznym w twórczości Kuncewiczowej. Ta ostatnia praca, pisana pod kierunkiem prof. Anieli Kowalskiej, sprawia pisarce szczególną radość, ale i pogrąża ją w zadumę. *„Pisarz pisze spontanicznie, a krytyk doszukuje się potem w dziele rzeczy, o których nie myśleliśmy. Widocznie tkwiły one w naszej podświadomości. Co do tej muzyczności: z pewnością coś w tym jest, przecież matka moja była pianistką, a ja sposobiłam się do kariery śpiewaczej, miałam już nawet swoje recitale. Porzuciłam śpiew dla literatury, ale muzyczność, którą tak tropi uczony magister, pozostała i daje o sobie znać, choć nie zawsze jestem tego świadoma"*.

Pisarka po powrocie z Ameryki ma pełne ręce roboty. *„Sama nie wiem, od czego zacząć* — mówi strapiona. — *Wydawca amerykański namawia mnie, abym kontynuowała „Tristana 46" po angielsku. Część książki, którą napisałam w tym języku, uznał za dobrą. Więc chyba to zrobię. Mam zamierzony i właściwie już rozpoczęty drugi tom „Fantomów", który jednak postanowiłam opatrzyć osobnym tytułem „Natura". Zobowiązałam się również napisać dla „Czytelnika" książkę o młodym Stanisławie Przybyszewskim. Skąd wziąć na to wszystko czas? A tu trzeba jeszcze coś poczytać, spotykać się i rozmawiać z przyjaciółmi i znajomymi, udzielać wywiadów itd."*.

Kiedy zauważę, że warunki do pracy są tu wprost idealne, Maria Kuncewiczowa wtrąci natychmiast: *„Tak, to prawda, ale pod bokiem Dom Prasy, a pan wie, jacy są dziennikarze. Właśnie była u mnie przedstawicielka „Trybuny Opolskiej", by przeprowadzić ze mną rozmowę dla swej gazety. Nie powiem, że robię to niechętnie. Owszem, zależy mi na kontaktach z czytelnikiem również i w tej formie"*. Nie chcemy nadużywać gościnności gospodarzy i zabierać im czas, którego mają tak mało. Umawiamy się na pojutrzejszą wyprawę do Lublina i schodzimy w dół — do miasta. Po drodze spotykamy (niewiarygodne, ale prawdziwe) reżysera Tadeusza Byrskiego, Jana Nepomucena Millera i prof. Anielę Kowalską. Każde z nich ma w planie odwiedziny u Marii Kuncewiczowej. Wcale się temu nie dziwię. Sam przecież przyjechałem do Kazimierza w tym celu. Tadeusz Byrski miał reżyserować w łódzkim Teatrze Nowym „Cudzoziemkę", zaadaptowaną na scenę przez Jerzego Kuncewicza, ale tymczasem zmieniła się dyrekcja Teatru i sprawa zawisła w próżni. Szkoda. Myślę jednak, że dyrekcja do „Cudzoziemki" powróci, bo warto. Spektakl telewizyjny tego utworu tylko na pewien czas zaspokoił ciekawość widzów i w dodatku nie wszystkich. Dobre dzieło każdy znowu zechce obejrzeć, a że „Cudzoziemka" jest dziełem znakomitym — nikt w to nie wątpi.

Chociaż nie należę do entuzjastów Kazimierza, przyznać muszę, że to miejscowość pełna uroku. Niestety — zaniedbana. Uporządkowano wprawdzie bulwar nadwiślański, który służy do długich spacerów o zmierzchu, ale inne roboty posuwają się w tempie ślimaczym. No i te warunki sanitarne! Reprezentacyjna restauracja „Esterka" mało estetyczna, z urągającym wszelkim warunkom zapleczem, a i w innych lokalach nie lepiej. Zresztą czystość nie należy do mocnych stron tego kraju. Kiedy parę lat temu przyjechała, na zaproszenie władz Uniwersytetu Łódzkiego, grupa uczonych z Birmingham, zażyczyli sobie oni spotkania z pisarzem. Wybór padł na mnie. Angielscy profesorowie zadawali mi różne pytania, na które odpowiadałem dość szczegółowo. W końcu ja ich spytałem, co im się w Polsce najbardziej nie podoba. Odpowiedzieli bez wahania: warunki sanitarne.

Ale porzućmy te smętne dygresje, na które nie powinno być miejsca w reportażu sentymentalnym. W Kazimierzu dopisywała nam niezmącona pogoda. Kąpaliśmy się w Wiśle, płynęliśmy statkiem do Puław, cieszyliśmy się słońcem i życiem.

III.

Mercedesem, prowadzonym wprawną ręką Jerzego Kuncewicza, jechaliśmy z Kazimierza do Lublina zaledwie pięćdziesiąt minut. W okolicach Nałęczowa po obu stronach drogi rosną wspaniałe wielosetletnie drzewa o potężnych pniach, których już coraz mniej w naszym kraju. Państwo Kuncewiczowie mieli odebrać w lubelskim urzędzie celnym książki, wysłane z Ameryki, my chcieliśmy zobaczyć miasto, którego obraz zatarł się w naszej pamięci. Nade wszystko jednak — postanowiliśmy pójść do muzeum Józefa Czechowicza. W dawnych izbach poklasztornych zgromadzono pamiątki i dokumenty, ilustrujące życie i pracę poety, który stąd pochodził i zginął tutaj 9 września 1939 roku od niemieckiej bomby. Wzruszające są zdjęcia młodego Czechowicza, jego rodziców, brata i siostry, świadectwo z Instytutu Pedagogicznego, z nauką slöjdu — przedmiotu, o którym mało kto ma dziś właściwe wyobrażenie. Książki, rękopisy, afisze z wieczorów autorskich, dane biograficzne — wszystko eksponowane nadzwyczaj starannie. Gdym szedł od planszy do planszy, oglądając zdjęcia i czytając teksty, napłynęły wspomnienia. 6 maja 1938 roku. Niedziela. W sali Collegium Theologicum przy ul. Traugutta w Warszawie odbywa się poranek poetycki. Biorą w nim udział: Czesław Miłosz, Stanisław Piętak, Jerzy Zagórski i właśnie Józef Czechowicz. Każdy z nich inny: Miłosz — patetyczny, arogancki, Zagórski — ruchliwy, uśmiechnięty, Piętak — jakby się czegoś lękał, Czechowicz — spokojny i skupiony. Czytali wiersze. Dobre. Jeden z wierszy, nie pamiętam już czyj, pt. „Do Europy", bardzo mi się podobał. Gdy poranek się skończył, poeci pozostali jeszcze na sali. Nie wytrzymałem nerwowo i podszedłem do Piętaka, a następnie do Czechowicza. Rozmawialiśmy chyba z kwadrans. Wyszedłem olśniony z „Obłokami wiosennymi" Piętaka i „Arkuszem poetyckim" Czechowicza, opatrzonymi dedykacjami. Tomik Czechowicza ocalał mi w wojennej zawierusze. Gdy patrzę dziś na tę dedykację, z trudem mogę uwierzyć, że kiedyś naprawdę tak było.

Nigdy później Czechowicza nie widziałem, ale czytałem wszystko co publikował. Z Czechowiczowskich wierszy najbardziej lubię ten z wczesnych lat dwudziestych o jesieni:

Już na sierpniowych słońc spiekocie
W przepychu las zaczyna wdowieć.
Trochę w szkarłacie, trochę w złocie
Sypie się drzew ostatnia spowiedź.

W tumanach ciszy, stawów głębi
Słońce przepala się na szarość
I czai się, jak lis w porębie,
Z nieznanych dni przybłęda — starość!

Grzeszę, rdzewieję, liście gubię.
Koniec. Las nie las i łan nie łan.
Lubię jesiennieć tak i lubię
Iść we wrzosowych mgieł ocean...

Gdy wróciliśmy do Kazimierza był przedwieczerz, ale słońce prażyło mocno. W jego blaskach Wisła srebrzyła się jak blacha cynkowa. Zielone wzgórza podpierały niebo, które wydawało się błękitniejsze niż zwykle. Przed nami — droga do domu, za nami — Lublin, Czechowicz i wspomnienia.

Fot. W. Parys

Pod Mokrą i Ostrowami

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Pamiętnej nocy z 31 sierpnia na 1 wrzesnia nadgraniczny las z tamtej strony huczy tysiącem motorów. Las z tej strony jest cichy i czujny. Niekiedy parsknie tylko koń lub brzęknie ułańska ostroga. To ostatnie przygotowania przed oczekującą walką. Za linią potrójnej miejscowości Mokra ustawiły się trzy baterie 2 dywizjonu artylerii konnej, dalej na wschod, za torem kolejowym magistrali śląsko-gdyńskiej stały w odwodzie dwa pozostałe pułki brygady (12 ułanów i psk) oraz dywizjon pancerny majora Glińskiego. IV batalion 84 pp majora Sokola obsadził skraj lasu od południowego zachodu. Dalej na południe znajdował się już pas działania armii „Kraków", a najbliższym sąsiadem był samotny batalion ON „Kłobuck".

Już o godzinie 4.30 gwałtowne wybuchy na granicy postawiły obrońców na nogi. W pół godziny potem straż graniczna zameldowała o posuwaniu się oddziałów motocyklistów. Od godziny 6 rozpoczęło się silne bombardowanie nadgranicznego miasteczka Krzepice, a następnie całego obszaru zajętego przez brygadę: Kłobucka, Miedzna, Ostrów.

Po trzygodzinnej obronie batalion ON „Kłobuck" i kawaleria dywizyjna 7 d.p. wycofują się z Krzepic. Z kierunku granicy wprost na stanowiska 21 pułku ułanów wpada w popłochu ludność cywilna, za nią nadjeżdża kilka czołgów. Jęknęła ziemia pod nawałą niemieckiej artylerii, z góry uderzyły Stukasy. Jednak i polskie stanowiska nie próżnują. Patrol pancerny poczuwszy na sobie ogień zawraca. Natomiast z Wilkowiecka wypada grupa 20—30 czołgów i kieruje się wprost na główną pozycję pułku. To pierwsze starcie z bronią pancerną wroga kończy się dla obrońców pełnym sukcesem. W ogniu działek i rusznic ppanc. czołgi niemieckie zatrzymują się, kluczą na przedpolu, wreszcie zawracają i odchodzą, pozostawiając trzy rozbite wraki, czwarty czołg staje w płomieniach w czasie odwrotu. Zawracają również samochody pancerne z przedpola IV batalionu 84 pp. spod Miedzna.

O godzinie 10 wyrusza z Wilkowiecka nowe natarcie czołgów, przy wsparciu silnego ognia artylerii i z udziałem 12 pułku strzelców pancernych. Fala czołgów sięga aż do stanowisk 19 pułku ułanów na północy, ale główne natarcie i tym razem kieruje się na pozycje 21 pułku ułanów. Walka trwała półtorej godziny. Jednak niezłomna postawa ułanów 21 pułku i skuteczny ogień 2 daku odpierają i tym razem natarcie niemieckich czołgów. Do walki włączył się polski pociąg pancerny z rejonu stacji Miedzno pod dowództwem kapitana Malinowskiego. Nieprzyjaciel pozostawił na przedpolu znów kilka unieruchomionych czołgów. Cztery czołgi przedarły się aż na polanę Mokra, lecz tutaj zostały zestrzelone ogniem bezpośrednim 2 i 3 baterii daku.

W południe uderza na stanowiska polskie huraganowy ogień artylerii niemieckiej. Odpowiadają jej baterie daku, wstrzeliwując się na postawy wyjściowe Niemców, przebiegające skrajami wsi Rębielice, Wilkowiecko i Walenczów. O godzinie 12 rusza natarcie przełamujące 4 dywizji pancernej, które już nie cofnie się jak poprzednie. Główne uderzenie 80 czołgów kieruje się na przerwę w lesie obsadzoną przez szwadrony 21 pułku ułanów, uderzenie pomocnicze — na 19 pułk ułanów. Mimo silnego ognia artylerii i broni ppanc., które powodują spustoszenie w szyku wroga, 40 czołgów wdziera się przez stanowiska obronne kawalerii na polane Mokra. Sam tylko podporucznik Morawski z 4 szwadronu unieruchomił z rusznicy ppanc. i granatami trzy czołgi, z Visem w ręku wskoczył na klapę czwartego, ale pomimo całego bohaterstwa i brawury masa pancerna toczy się dalej. Wkrótce Mokra III staje w płomieniach podpalona pociskami zapalającymi.

Sytuacja staje się groźna. Część czołgów trafia na stanowiska 2 i 3 baterii, które ogniem na wprost odpierają atak. Podporucznik Giedroyć z odległości 100 metrów rozbija czołg, jednak inne wtłaczają dwa działa wraz z obsługą w ziemię. Czołgi z kierunku Rębielic atakują również stanowisko 1 baterii w rejonie Mokrej I.

Tymczasem wchodzą do akcji szwadrony 12 pułku ułanów. Gdy czołgi po przejechaniu stanowisk artylerii skierowały się na Miedzno pod wiadukt kolei, powitał je ogień 4 szwadronu 12 pułku ułanów rotmistrza Feliksa Pruszyńskiego. Wkrótce nadjeżdżają pozostałe dwa szwadrony: 1 porucznika St. Raczkowskiego i 2 rotmistrza Olgierda Suryna, całość pod dowództwem pułkownika Kuczka. Jeszcze przedtem został rzucony na pomoc ułanom nadwiślańskim 3 szwadron 12 pułku podolskiego rotmistrza Hollanka, a obskoczony przez czołgi nieprzyjaciela broni się w oparciu o wioskę Mokra II. Niestety, jedno działko ppanc. i pluton cekaemów umożliwiają mu ledwie trwać w miejscu. Szwadron mimo rażącej dysproporcji sił walczy do zmroku, ginie podporucznik Kazimierz Florkowski, rotmistrz Hollanek, zaraz na początku ranny został w obie nogi, a w czasie wycofywania się z walki pada bez życia skoszony serią cekaemow. Walka trwała do godziny 14, nieprzyjaciel po raz trzeci wycofuje się na postawy wyjściowe. Szwadrony 4 i 2 ułanów nadwiślańskich walczą dalej na skrajach wyłomu, który obecnie obsadza 12 pułk ułanów.

Nową przerwę w walce dowódca brygady wykorzystuje na dalsze przegrupowanie swoich oddziałów. 2 i 3 bateria daku zużywszy całą amunicję, wycofuje się za linię toru kolejowego, 21 pułk ułanów obsadza wschodni skraj polany, poza miejscowościami Mokra II i III. 19 pułk ułanów otrzymuje rozkaz zwinięcia swej linii obronej i wycofania się przez Białą Oknę na skraj lasu w rejon miejscowości Ostrowy, którą od południa obsadza 11 batalion strzelców podpułkownika Warchoła: powstaje trzecia linia obrony. Pułkownik Filipowicz pewną ręką trzyma swoje wojska, a posiada jeszcze nienaruszony 2 pułk strzelców konnych i dywizjon pancerny, w kierunku północnym zaś, gdzie zameldowano nieprzyjaciela, cofnął się nieopodal pociąg pancerny kapitana Malinowskiego.

Między godziną 15 a 15.30 wychodzi czwarte z kolei natarcie niemieckie czołgów z piechotą. Sześć baterii razi ogniem niewielki obszar polany, niosąc śmierć i zniszczenie nieugiętym ułanom. Szczególnie dotkliwie odczuwają ogień koniowodni, z trudnością opanowując gromady koni. Tym razem i z kierunku Rębielic przedarły się czlogi na polanę i uderzyły na 1 baterię, która traci jedno działo, lecz niszczy 6 czołgów. Lecz główne uderzenie nadal kieruje się w lukę międzyleśną. Linia stanowisk 12 pułku ułanów zakwita ogniem wystrzałów. 3 działka ppanc. i 6 rusznic bezustannie pluje ogniem w stronę czołgów z najbliższej odległości. Wir bitewny porywa też wszystkich bez względu na stopień i funkcję. Nawet pułkownik Kuczek wraz ze swym sztabem staje do bezpośredniej walki, inni donoszą bezustannie amunicję. Wchodzi do akcji odwodowy szwadron porucznika Raczkowskiego, lecz sam dowódca ginie ugodzony pociskiem pancernym. Mimo jednak nieopisanego męstwa obrońców, którzy gęsto zasłali pole swoimi ciałami, sto czołgów przedziera się na polanę Mokra, przenika do lasu na wschód od polany i dociera do toru kolejowego.

W tym położeniu około godziny 16 dowódca brygady rzuca do przeciwnatarcia ostatni swój odwód: 2 psk. pułkownika Mularczyka i 21 dywizjon pancerny majora Glińskiego. Wprawdzie uzbrojone w enkaemy tankietki, po wykonaniu rajdu na polanie wróciły spiesznie na postawę wyjściową, aby uniknąć zmiażdżenia, jednak ogień ze wszystkich dział, rusznic i cekaemów 2 pułku strzelców konnych zatrzymał niemieckie natarcie. Pluton ppanc. starszego wachmistrza Bonieckiego zestrzelił z rejonu gajówki 12 czołgów. Kapral Jan Suski zniszczył ze swego działka 8 czołgów, przy czym odznaczył się również celowniczy, Julian Zienkiewicz oraz kapral Jan Patro.

Ostatecznego pogromu dokonał wracający z północy pociąg pancerny, którym dowodził kapitan Malinowski. Bateria haubic pod osłoną stalowych tarcz odrzuciła pierwszą falę czołgów, która cofając się wpadała w kurzu i dymie na czołgi drugiego rzutu. W szeregach Niemców powstaje zamieszanie, a nawet strzelanina pomiędzy sobą, gdyż dalsze fale biorą wycofujących się za wroga. Wreszcie około godziny 17 nieprzyjaciel decyduje się znowu na odwrót. Polacy odnoszą zupełne zwycięstwo.

Polacy pozostali do zmroku panami straszliwego pobojowiska, po czym cofnęli się około 8 kilometrów na północny-wschód, do lasów w rejonie miejscowości Ostrowy, gdzie znów zorganizowali się obronnie. W tym czasie łączność z polską 7 dywizją pod Częstochową została całkowicie zerwana i między armiami „Łódź" i „Kraków" powstała szeroka luka. 1 dywizja pancerna Niemców, zepchnąwszy batalion ON „Kłobuck", nie napotykała już na swej drodze żadnego oporu i mogła bez przeszkód posuwać się w głąb polskiego obszaru. Otrzymała też ona na dzień 2 września zadanie dotarcia do górnej Warty i utworzenia na niej w rejonie miejscowości Gidle, przyczółków mostowych.

Kazimierz Sramkiewicz: Alarm II.

Na kierunku marszu 4 dywizji pancernej była wciąż jeszcze zdolna do walki Wołyńska Brygada Kawalerii. Stan brygady po pierwszym dniu ciężkich walk uległ znacznemu uszczupleniu. Zginęło lub odniosło rany 27 oficerów i 500 szeregowych, wypadło też z szyku 300 koni zabitych lub poranionych. Największe straty poniósł 12 pułk ułanów podolskich i 21 nadwiślańskich. Poza tym odeszły z rejonu brygady oba pociągi pancerne, przesunięte rozkazem dowództwa armii aż do Łasku. Batalion 84 pp odmaszerował do swego macierzystego pułku w Działoszynie. Jednakowoż brygada musiała dalej wykonywać zadanie opóźniania wroga.

Poranek 2 września był spowity oparami gęstej mgły. Z rejonu opuszczonego pobojowiska Niemcy ostrzeliwali intensywnym ogniem Ostrowy, jakby mszcząc się za swoje wysokie straty w ludziach i sprzęcie technicznym. Ostrowy obsadzał 11 batalion strzelców i on też dźwigał na sobie ciężar zemsty. Dopiero około południa ruszyło niemieckie natarcie. 4 dywizja pancerna otrzymała pomoc swej północnej sąsiadki, 19 dywizji piechoty. Piechota niemiecka skierowała się do natarcia od zachodu, na stanowiska 19 pułku ułanów, lecz została z łatwością odparta. Natomiast natarcie czołgów od południowego zachodu i południa narzuciło 11 baonowi strzelców podpułkownika Warchoła i 2 pułkowi strzelców konnych pułkownika Mularczyka ciężką walkę. Uderzenie czołgów na stanowiska 11 batalionu strzelców uzyskało początkowo powodzenie: piechota ugięła się pod miażdżącą siłą 26-tonowych „Pancerów" MK IV 36 pułku czołgów. Jednak w pomoc podpułkownikowi Warchołowi przyszedł dywizjon pancerny majora Glińskiego. Po dwugodzinnej walce wyparto Niemców z polskiego ugrupowania.

Drugie natarcie niemieckie wyruszyło około godziny 16 i skierowało się głównie na 2 pułk strzelców konnych. Czołgi nieprzyjaciela wdarły się do lasu i okrążyły trwający w obronie pułk hrubieszowian. Znów przeszedł do przeciwuderzenia polski dywizjon pancerny wraz z 12 pułkiem ułanów podolskich. Przewlekłe walki leśne trwały do zmroku, zagrożone odcięciem i oddzielone od swoich koni oddziały 2 psk wycofywały się jedyną drogą z okrążenia, wyciągając ciężki sprzęt bojowy na rękach. Podporucznik rezerwy, Henryk Dembowski, profesor lubelskiego uniwersytetu, wprzągł się zamiast konia do działka przeciwpancernego, aby je wyciągnąć z zagrożonej strefy. Przy nadludzkich wysiłkach udało się strzelcom konnym z Hrubieszowa wyślizgnąć z okrążenia, a nawet ocalić konie.

O zmroku pułkownik Filipowicz wycofał całą swoją jednostkę na prawy brzeg Warty pod Brzeźnicą Nową, gdzie otrzymał rozkaz przejścia do Łękawy i Łękińska pod Bełchatowem, z zadaniem dalszej osłony lewego skrzydła armii „Łódź". Wola walki była jednak tak ogromna, że żołnierz z niechęcią odrywał się od nieprzyjaciela. Pewien kapral z 2 psk. w uniesieniu bojowym wbił bagnet w ziemię i zawołał porywczo:

— Dlaczego uciekamy?! Bijmy się do końca!

Jednak przerwa w walce nie trwała długo. Naczelne Dowództwo było silnie zaniepokojone swobodnym posuwaniem się 1 dywizji pancernej na Radomsko, wstrzymywanej jedynie bombardowaniem polskiej brygady bombowej. Już wieczorem 3 września wołyńscy kawalerzyści, którzy szczęśliwie oderwali się od swego przeciwnika, otrzymali rozkaz uderzenia nocnego na oddziały 1 dywizji pancernej dochodzącej do Rozprzy i po zajęciu Radomska obsadzającej Kamieńsk. Wypad nocny 12 pułku ułanów na Rozprzę zetknął się jedynie z patrolami nieprzyjaciela, które z łatwością spędził z przedpola, nie przyczyniając Niemcom strat. Natomiast uderzenie 2 pułku seledynowo-amarantowych na Kamieńsk stało się prawdziwą epopeją i do końca życia pozostało w pamięci jego uczestników.

Dowódcą tej udanej akcji był major Łączyński, jego oddział składał się z ochotników po 10 na szwadron. Jako pierwszy zgłosił się kapral Kozyra, obok niego podchorąży Kazimierz Szymura. Poszczególne grupy prowadzili porucznicy: Gajewski, Kostarski i Gierasiński. Każdemu z uczestników wydano po 4—5 granatów, butelki z benzyną i pakuły. Zawołanie, które miało chronić przed wzajemnym postrzelaniem się, brzmiało: Maciuś — niemożliwe do wypowiedzenia przez Niemca. Obejściem minęli napotkane na drodze wsie, aby nie zdradzić się naszczekiwaniem psów.

Wtem rozlega się cichy lecz groźny okrzyk:

— Haende hoch!

— O Matko Boska! — jęknął wachmistrz-szef.

Lecz był to tylko żart. Oddział dusił się od tłumionego śmiechu, który doskonale rozbrajał wewnętrzne napięcie. Już godzinę bowiem trwał marsz w zupełnym milczeniu. Zbliżali się do opłotków Kamieńska. Z najbliższej odległości rozległ się — tym razem autentyczny głos:

— Halt! — i równocześnie padł strzał.

Tak zaczęła się gwałtowna, kilka godzin trwająca walka nocna w Kamieńsku. Pierwszy podchorąży Tomasz Suchodolski rzuca w Niemca granatem. Niektórzy z ochotników szarpnęli się do tyłu, ale inni pociągnęli ich naprzód. Wpadli do stodół, ze wszystkich stron rwą się granaty, tu i tam wzbijają się do góry smoliste języki ognia, nagle wybuchy cystern z benzyną, jęki i krzyki, bezładna strzelanina i przekleństwa. Z gęstej ciemności dobywa się raz po raz ciężkie stęknięcie, jak przy rąbaniu drzewa. Co chwila pada jedno pytanie:

— Maciuś?

— Maciuś! — odpowiadają radosne głosy.

Już blady świt obrzeżał wschodnią część nieba, gdy zaczęli z wyprawy wracać pierwsi żołnierze. Goniec nadbiegający z meldunkiem nie mógł nic powiedzieć, tylko powtarzał w kółko:

— Aleśmy im dali, aleśmy dali!

Nie wróciło pięciu, ale żaden nie zginął. Wśród innych nie dołączył i podchorąży Suchodolski, który później trafił do innego oddziału kawalerii. Jednak Niemcy następnego dnia z zemsty za wypad nocny zatłukli kolbami i pałkami do bicia bydła 33 mieszkańców Kamieńska, pięciu rozstrzelali...

Za bohaterskie czyny brygady pod Mokrą, Piotrkowem i w Palmirach, jej dowódcy i żołnierze zostali odznaczeni rozkazem dowódcy armii „Warszawa", generała Rómmla, z dnia 13 września 1939 roku, najwyższymi odznaczeniami wojskowymi, w tym pułkownik dypl. Filipowicz, pułkownik Kuczek, podpułkownik dypl. Jan Kamiński i major Stanisław Starzecki — Orderem Virtuti Militari 4 kl.

Długa jest lista odznaczonych oficerów, podoficerów i szeregowców Wołyńskiej Brygady Kawalerii. Przewyższa ona pod tym względem niejedną równie dzielnie walczącą jednostkę w kampanii 1939 roku.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

MAREK WAWRZKIEWICZ

PAMIĘĆ

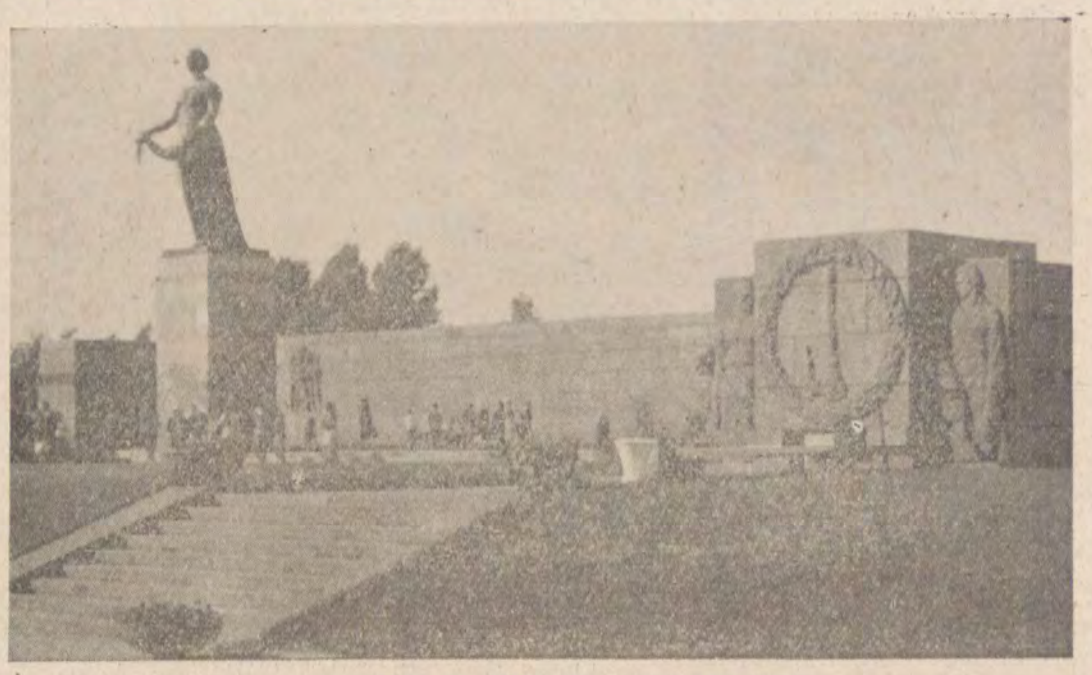

Pomnik ku czci poległych w czasie blokady

A więc znowu tutaj, w tym mieście. I znowu płynie rzeką pobłyskując błękitnością, zielonością, szarością. Jest jak wtedy, w jesieni i w zimie. Tylko niebo podbiegło w górę, jest niebieskie, prawie czyste, bez chmur. Może tak będzie parę godzin, dzień, kilka dni? Pewnie jednak niedługo, tutaj ciągle deszcz pada. Ale dziś jest jasno i słonecznie. Oślepiająco jasno i oślepiająco słonecznie.

Pewnie nigdy nie wytłumaczę sobie do końca na czym polega zniewalający, niepowtarzalny urok tego miasta. Jego centrum to przecież bliźniaczo podobne ulice zabudowane dwu- i trzypiętrowymi domami, z identycznymi biało-żółto, biało-niebiesko i biało-zielonymi płaszczyznami ścian. I jeszcze pałace, cerkwie i sobory, pomniki i mosty. Ale, ta niska, jednolita zabudowa, olbrzymie przestrzenie placów, szerokość ulic i wielkie tafle leningradzkich rzek — to wszystko sprawia, że człowiek czuje się tak, jak gdyby było tu więcej powietrza niż gdziekolwiek indziej.

W dzień jasny i słoneczny, kiedy się patrzy na miasto z mostu lub bulwaru, kiedy błyszczy nad miastem złoto wież i kopuł, kiedy czyste i żywe są kolory — w taki dzień wszystko widzi się najdokładniej, najbliżej. Ale słonecznych dni jest tu mało. A kiedy pada deszcz, wtedy Leningrad jest piękny inaczej. Dziś świeci słońce, a nad Newą polatują z krzykiem mewy. I jaskółki.

* ☆ *

O leningradzkich jaskółkach z okrutnych lat blokady dowiedziałem się z wiersza Olgi Bergolc. Ta wybitna poetka, autorka pięknych i przejmujących poezji, która całą wojnę przeżyła w Leningradzie, przypisała do jednego ze swych wierszy informację. Oto w tych latach, kiedy ludzie tysiącami umierali nie tylko od kul i bomb, ale z głodu, mrozu i wycieńczenia, narodził się piękny symbol: wielu mieszkańców Leningradu nosiło wtedy naszyty na ubranie emblemat — czarną jaskółkę na niebieskim tle. To był symbol wiary tych ludzi w to, że ich najbliżsi, bliscy żyją, że napiszą list, i że ten list jest czymś najbardziej oczekiwanym. A dlaczego właśnie jaskółka? List tu mógł dotrzeć tylko z powietrza, zrzucony z samolotu...

* ☆ *

Już parę lat minęło od czasu, kiedy wprowadzono w Związku Radzieckim drugi dzień w tygodniu wolny od pracy — sobotę. Ale ciągle żyje stara tradycja i dniem prawdziwie świątecznym jest tu niedziela. Właśnie w niedzielę napełniają się tu tłumami parki i skwery, właśnie w niedzielę najrojniej jest w muzeach i na ulicach, a całe nadbrzeże Newy, od Litiejnego Mostu aż do Ermitażu i dalej, zamienia się — prawie niezależnie od pogody — w jedną wielką, długą promenadę. Nie przerwanym strumieniem, parami, trójkami, pojedynczo — spacerują młodzi i starzy, jeszcze raz oglądając dobrze znane widoki, czasem zatrzyma się tu autobus, którego pasażerowie obracają wzrok zgodnie ze wskazaniami przewodnika, potem autobus rusza dalej i znów płynie spokojnie i dostojnie ludzki strumień. Tylko sfinksy nad Newą nieruchomo tkwią na swych postumentach. Sfinksy i wędkarze, osowiałe i beznadziejnie topiący haczyki w falach Newy...

* ☆ *

Jest kilkanaście kilometrów za Leningradem wielkie, puste pole. Puste — nie ma na nim drzew, krzaków, nawet trawa tam nie rośnie. A kiedy się zanurzy rękę w sypkiej szarej ziemi, a potem otworzy dłoń — będzie na niej po równi piasku i kawałków żelaza. Ten mały kawałek ziemi przechodził w czasie wojny z rąk do rąk kilkadziesiąt razy. Spadł nań deszcz stali, lawina żelaza. I teraz jeszcze, trzydzieści prawie już lat nie może tu wyrość perz, chwast, źdźbło zwykłej trawy. Czy jest gdzieś w świecie równie wstrząsający pomnik minionej wojny?

* ☆ *

Na Marsowym Polu płonie wieczny ogień. Wieczorem mocno pachną tutaj rozłożyste i gęste bzy. Ludzie przechodzą tu niespiesznie, idą w stronę Letniego Sadu, lub nad Newę, na Kirowski Most. Na ławkach ustawionych przy szerokich alejkach siedzą zakochani, siedzą długo, bo przecież biała noc właściwie się nie zaczyna i nie kończy, więc wydaje się, że czas nie płynie. Ogień pali się niewielkim, spokojnym płomieniem, a przy jego świetle, przy świetle białej nocy można odczytać napisy na płytach nagrobków. Tu leżą ci, którzy zginęli w walce z kontrrewolucją. Pod jedną z nich spoczywa szeregowy rewolucjonista-agitator. Szeregowy. Zwyczajny. Kiedy go zabito miał 13 lat. Na płytach — kwiaty. Niezbyt okazałe, też zwyczajne. Między nimi — pionierskie znaczki. Rzuca się je tak, jak się rzuca kwiat na mogiłę.

* ☆ *

Powiadają, że nie jest już tak jak dawniej. Coraz więcej dymu w powietrzu, coraz więcej trucizn w morzach i rzekach. Powiadają — ach, we Władywostoku ocean czysty i ryby pachnące słoną wodą, nie chemią... Powiadają, że wymrą astrachańskie jesiotry, że nie będzie już prawdziwego kawioru... Wynaleźli już sztuczny, lecz to już nie to... Aleć przecież jeszcze tylko tu, w tym kraju są przestrzenie, gdzie na dziesiątkach kilometrów nie spotkasz żywej duszy, to właśnie tutaj ludzie mówią: trzysta kilometrów? — to przecież parę kroków... Tam, w tych odległościach są czyste rzeki, wielkie lasy, błękitne jeziora — a wszystko jeszcze nie zaśmiecone, nie przesiąknięte trującym oddechem cywilizacji.

Więc jeszcze możemy spotkać kawior czarny i czerwony. Jeszcze na stół trafia jesiotr wielki jak polano dębowe. Jeszcze jemy kraby przecudnej urody i tajemniczego smaku. Jeszcze w piwnym barze zagryzamy piwo kleszczem czerwonego raka — który ponoć najszybciej ginie od domieszek chemicznych, spływających ściekami do rzek czy jezior...

Czy jedliście potrójną uchę? Robi się to tak: najpierw trzeba ugotować malutkie jak palec ryby, nazywają się kilki. Potem kilki wyrzucić, a w rosole po nich trzeba gotować sandacza. Potem sandacza się wyrzuca, a w podwójnym rosole gotuje się duże dzwonka jesiotra. I jesiotra się już nie wyrzuca, bo oto właśnie dopełnił się starodawny przepis i ceremoniał i dymi przed nami rozkosznym zapachem właśnie ona: potrójna ucha...

* ☆ *

Siedzimy przy suto zastawionym stole, jemy ciasta. Są bardzo słodkie, bardzo sycące, oblane białymi górami świeżutkiego kremu. Ton rozmowie nadaje starsza pani, bardzo kulturalna, władająca francuskim, tak jakby to był jej ojczysty język, globtroterka, urodzona i wychowana jeszcze w Sankt-Petersburgu.

— Jadł pan kiedyś niedźwiedzia? — pyta mnie ta pani. — Jadłem — odpowiadam, bo rzeczywiście próbowałem kiedyś niedźwiedziej łapy, którą przyjaciel przywiózł z dalekiej Gruzji.

— Pytam — kontynuuje ta pani — bo dostałam list od kuzyna z — tu pada nazwa jakiegoś odległego o tysiące kilometrów rejonu — że kupił pół niedźwiedzia. Spodziewał się, że smak mięsa będzie jakiś osobliwy — ale nie, mięso jak mięso. Chwila ciszy. — A jadł pan kiedyś psa? — pyta ta nobliwa, kulturalna pani. Robi mi się niedobrze wśród tych pagórków białego kremu, kąsek ciasta rośnie mi w ustach. Widocznie patrzę na nią osłupiałym wzrokiem, bo pani dodaje tonem łagodnego wyjaśnienia, tłumaczy jak małemu dziecku: — A myśmy jedli psa. W czasie blokady. Bardzo często. Dopóki jeszcze psy były.

* ☆ *

W tych opowieściach nigdy nie ma ani lata, ani wiosny. Wygląda na to, że te 900 dni blokady, to była zima. Mroźna, nieustająca, straszna zima. I ja się nie dziwię temu skrzywieniu pamięci.

Opowiadają mi o ludziach, którzy zamarzali. Nie tak, jak to się jeszcze niekiedy zdarza — ktoś zasnął w śniegu i nigdy się nie obudził. Ktoś odmroził ręce i nogi, i potem, po operacjach umierał w szpitalnym łóżku.

Ludzie zamarzali stopniowo, przez wiele dni. Pracowali, spali, chodzili po ulicach. I zamarzali. To znaczy — cichli, mikli, obojętnieli. Aż, któregoś dnia mówili do sąsiada: weź moją robotę, ja jutro umrę. Potem szli do domów, kładli się do łóżka, patrzyli w sufit obojętnymi oczyma. I umierali.

* ☆ *

Białe noce zaczynają się w początku czerwca, ostatnie ich ślady można jeszcze zaobserwować w pierwszych dniach lipca. Wtedy życie Leningradu wraca do normy. Najdłuższa biała noc — z 22 na 23 czerwca. To nie noc, to dzień się nie kończy. Na ulicy można swobodnie czytać gazetę lub wiersze, wtedy lepiej wiersze. Z jednej strony Newy, o wpół do trzeciej w nocy Twierdzę Pietropawłowską oświetla czerwona łuna zachodu — tak jakby słońce zaszło przed kilkunastu minutami. Z drugiej strony — widać już łuny wschodzącego słońca. Nikt tego nie zapomni, nikt, kto to widział choćby jeden raz.

O drugiej, trzeciej w nocy na nadbrzeżach Newy jest tak ludno jak w południe na Newskim Prospekcie. Tłumy ludzi — młodych, starych, turystów i leningradczyków. Samotnicy, pary, większe towarzystwa. Piosenki pod wtór gitary, śmiechy lub pełne zadumy milczenie. Wszyscy przyszli asystować przy podnoszeniu mostów. I oto dźwigają się potworne bloki żelaza i stali — najpierw Most Pałacowy, potem Kirowski, potem Litiejnyj. Przepływają migocąc światłami wielkie statki, już od dawna grzecznie czekające w kolejce.

Jest biała noc. To znaczy, że dzień wczorajszy wcale się nie skończył, a dzień dzisiejszy wcale się nie zaczął. Jest to jeden dzień — nie przedzielony ciemnością.

* ☆ *

Przez radiowy głośnik, taki zwyczajny „kołchoźnik", jaki tu jest w każdym domu, płynie piosenka śpiewana przez Olgę Woroniec. Głos jest rosyjski: mocny, trochę zawodzący, ale jednocześnie przejmujący, nostalgiczny.

Słowa piosenki mówią, że nigdzie na świecie nie umieją czekać tak, jak tutaj, w Rosji. Słowa piosenki mówią o rosyjskich kobietach, które czekają na swych mężów i synów prawie 30 lat. Słowa piosenki mówią o Jarosławnach ostatniej wojny.

* ☆ *

Dźwięczy ta nuta w wierszach wszystkich poetów tego miasta. Młodych i starych. Tych, którzy przeżyli to wszystko i tych, którzy teraz, po tylu latach na każdym kroku spotykają się ze wspomnieniami, z przedmiotem, z rzeczą, która wspomnienie obudzi.

Oleg Szestynski pisze o swoich kumplach, którzy trafili pod bomby na jeziorze Ładoga, mówi do nich: „Odezwijcie się chłopcy do mnie".

Olga Bergolc pisze o żołnierzu, który umierając na szpitalnym łóżku, wzywał w gorączce swoją matkę i żonę, i o młodej pielęgniarce, która schylając się nad nim odpowiadała — jestem tu, twoja matka, twoja żona, twoja siostra; wszystkie tutaj jesteśmy.

Włodzimierz Toropygin pisze o swym domu, który zostawił, odjeżdżając stąd w czterdziestym pierwszym.

Wiktor Maksimow pisze o swojej sąsiadce, Tatianie Władymirownie, dla której każdy dzwonek telefonu jest jeszcze małą nadzieją; pisze o swoim tapczanie, stojącym w tym miejscu, gdzie stało kiedyś łóżko, na którym dwa tygodnie leżał zamarznięty w dniach blokady człowiek. Dwa tygodnie, zanim go znaleźli i pochowali ludzie.

* ☆ *

Najwierniejsze ze wszystkiego, co jest na świecie. Pamięć.

PÓŁKA Z KSIĄŻKĄ MI

SZKICE WARSZAWSKIE

Ludwik B. Grzeniewski jest autorem kilku prac o Warszawie — cennych i ciekawych książek „Warszawa w „Lalce" Prusa", „Śladami Wokulskiego"... Zawsze myślałem, że jest to sędziwy badacz i historyk i oto w najnowszej książce Grzeniewskiego odkryłem, że autor ma zaledwie około czterdziestki. Może właśnie te wspomnieniowe refleksje ożywiły owe szkice, dopełniły nieprawdopodobną wprost erudycję autora akcentami osobistymi.

Jest to książka o ludziach i literaturze*) — zawsze jednak Warszawa odgrywa w tych szkicach rolę pierwszoplanową. Ludzie i zdarzenia, sprawy i topografia widziane są przez pryzmat literatury. Wiele tu wnikliwych obserwacji, wiele swoistych odkryć historyczno-literackich — wszystko to opatrzone wnikliwym komentarzem, bogato ilustrowane celnym cytatem...

Szkice warszawskie są piękną mozaiką tekstów i spraw, ale jest to mozaika wykonana z wielką dbałością i podporządkowana przewodnim celom i myślom autora. Nie jest to przypadkowy zbiór historyczno-literackich kamyków — choćby najpiękniejszych — ale tom znakomitych esejów inkrustowanych dokumentami literatury. Znakomita książka stanowiąca rzadkość wśród publikacji poświęconych Warszawie.

J. W.

*) **Ludwik B. Grzeniewski „SZKICE WARSZAWSKIE" Czytelnik — 1970.**

PRZEPUSTKA NA ŻYCIE

Wspomnienia prowadzą nieraz do uogólnień. Zawsze są źródłem subiektywnej oceny siebie w Czasie... Zobaczyć siebie t a m t e g o, odkryć n a n o w o...

Które z „Trzech pamięci" porządkują wnętrze bohaterów, konstruują przyszłość? — odpowiem: wszystkie przytoczone w retrospekcji. Bo — wbrew ich odczuciom — są pełni witalizmu, siły. Skąd więc ucieczki w imitację, w szarość i negację? Sprzyjała temu „Samotność wśród ludzi", wrażliwość nieprzeciętna, nieprzystosowana do rzeczywistości. Przewaga refleksji nad działaniem, opóźniająca, w konsekwencjach nużąca i zniechęcająca. Źródła płynęły z przeżyć wojennych w doświadczeniach trójki bohaterów. W pojedynkę, oglądali siebie w „krzywym zwierciadle" — w moralnie obcej teraźniejszości przymierzali kostium wyobcowania i pozór nienawiści.

Wrażliwa narracja, szczególnie w opisach zakopiańskiego pejzażu.

Niestety, w partiach retrospektywnych gubi się klarowność fazy, wahają się napięcia, może uwarunkowane dusznym klimatem wojny? Nie powinny, przecież realia okupacyjne umożliwiają próby samookreślenia, wyprowadzenia swojego profilu na ich tle. Tak odczytałem.

„Trzy pamięci" — trzy prawdy z przeszłości, z lat kształcących samowiedzę, charakter j... tęsknotę za elementarnymi uczuciami. Stabilizacja jest tu nowym „polem" walki ludzi legitymujących się możliwościami wyboru i prawem racjonalnego wykorzystania „przepustki na życie".

Z. M.

„TRZY PAMIĘCI". Kazimierz Dębnicki. Wydawnictwo Łódzkie, str. 196, cena 15 zł.

EWA OSTROWSKA

Co za wspaniała zabawa: ciuciubabka

Jak to się stało?
— Tego jednak nie wiem.
Od czego się zaczęło?
— I tego nie wiem.

Siedząca naprzeciwko kobieta — kobieta przeciw kobiecie? — nie ma na sobie białego kitla; służbowego, nieskazitelnego uniformu, który powinien ją oddzielać ode mnie, stwarzać pomiędzy nami barierę. Jest w normalnym, codziennym ubraniu, podobnym do mojego, podobna w ogóle do mnie bardzo?, czy to złudzenie?

— Jak się pani nazywa?
— Nie wiem.

Nie wiem. Nic nie wiem. Nic poza strachem. Poza zadośćuczynieniem. Poza tym świętokradztwem, które ośmielam się popełniać i nim grzeszyć. Kto nauczył mnie strachu? Może ona? Ta, naprzeciwko mnie, w ubraniu podobnym do mojego, podobna do mnie; patrzę na nią, patrzę na siebie, kto mnie pyta: jak to się stało?, od czego się zaczęło, cóż za bzdurne pytania, gdybym znała na nie odpowiedź, nie siedziałabym w tej chwili naprzeciwko niej.

Kobiety: jeszcze nie starej. Kobiety: mocno utuszowane rzęsy, wyregulowane brwi, ale nie nahalnie; dobrze zrobiony makijaż. Kobiety: zmęczonej — już nie przykryje pudrem ani szminką dwóch zmarszczek w dół ust, nawet wtedy, kiedy kocha w półcieniu, w półświetle, w tym dobrym, łaskawym, litościwym oświetleniu małej lampki osłoniętej słomianym abażurem jak szyderczym chochołem. Stojące na podłodze radio gra jakąś muzykę — bez melodii — bezdźwięczną, nie ma muzyki, nie może jej tu być, nie potrzeba akompaniamentu, nie usłyszy go, najwyżej uniesie trochę swoją twarz, której nie łagodzi światło spod chochoła — wie o tym, cały czas wie o tych dwóch zmarszczkach w dół ust, czuje ich grubość, ich głębokość; nie potrafiła dotknąć nieba ani poznać jego głębokości; przypomina się jej ta dziecinna nadzieja; dlaczego właśnie tu, teraz?; więc wycofuje pośpiesznie swoją twarz poza krąg światła: gest bez znaczenia, bez pokrycia, śmieszny — przecież niczego nim nie osłoni, nawet swojej zachłanności, z którą chciałaby tak, jak wtedy niebo, teraz posiąść chwilę i zapamiętać z niej wszystko, każdy szczegół: abażur lampy, papieros wypalony do połowy i odłożony na popielniczkę, kapsel od butelki z mlekiem, połyskujący srebrem w przydymionej ciemności; szklankę z łykiem mętnej herbaty na dnie, łyżeczkę opartą o talerzyk z kruchymi ciastkami; czas podzielony między przydymione światło spod chochołowej osłony a jej twarz, zakrytą cieniem ściany; zabrać to sobie na własność, ukraść, aby mieć aż tyle: jedną minutę; dużo to czy mało?, jeżeli nie posiada się nic, bardzo dużo, ale czas urywa się razem ze światłem, to granica, poza którą nie przechodzi, a z której się sama dobrowolnie i świadomie wycofała; płacze?, nawet wtedy, kiedy kocha, jest bezbronna, nikt nie potrzebuje jej łez ani tym bardziej jej bezbronności.

Kobieta z naprzeciwka pyta.

O co? Dlaczego? Jakim prawem?

Ale ulegam jej. Jest silniejsza, bo to ja przed nią siedzę. Jest silniejsza, ponieważ patrzy na mnie, podczas gdy ja już nie chcę na siebie patrzeć.

Od czego?

Pewno od nieba. Jeszcze jedno oszustwo, które popełniłam sama przeciwko sobie; któremu nikt nie był winien, poza mną. Nikt z zewnątrz. Nie ma winnych. Nikt ich nie zna. Nie widział. Przeciwnie, wszyscy są w największym porządku: od lat pouczają mnie z całkowitą uczciwością i bezstronnością, że niebo jest tylko niebem, należy o tym pamiętać, należy to wreszcie zrozumieć, dlaczego jestem tak głupia, że chcę potrzymać niebo? Ono nie istnieje; składa się na nie tania wyobraźnia, banalna nadzieja, fałszywa wiara.

Odruch wstrętu, którego nie sposób opanować, paraliżującego wolę i mięśnie. Martwieją policzki, sztywnieją usta, ślepną oczy. I ani kroku. Ani ruchu. Nawet rzęsa jest kamieniem. Kiedy nareszcie zdobywam się na akt woli — a nie wynika on z jej siły, lecz ze słabości, obmierzłej, gdyż jest nakazem strachu, ponieważ nie wiem, czy śni mi się to wszystko, czy tak dzieje się naprawdę — i za wszelką cenę odpycham cielska mające mi smugami odwłoków czoło, odrywam ich ssawki; spocona, mokra, ale nie z deszczu; z krzykiem, który słyszę i czuję, bo krzyk — łatwo sprawdzić, trzeba być jedynie szalonym, choćby we śnie, nic więcej — ma konsystencję lepkiej cieczy, obłej; wypełnia sobą szczelnie krtań, przełyk, usta; przestaje się w nich mieścić, rozlewa na zewnątrz, przeciska się między zaciśniętymi kurczowo zębami, ścieka wzdłuż brody, szyi, na piersi i unicestwia, dusi, jest właśnie tym robakiem, który był w moim śnie, a teraz stał się rzeczywistością, przychodzi najgorsze, ponieważ ja wiem, iż krzyczę naprawdę, więc jeszcze raz dźwigam tak bardzo ciężkie dłonie, ściągam je z jakichś dalekich odległości, trzeba najpierw pokonać ich ciężar, później poszukać czoła, odepchnąć z niego to, co je oblepia, oblazi, smużąc się po nim, ściągnąć z siebie krzyk, który już oplótł mnie całą — a matka, bo to jej palce, ciepłe, zwilgotniałe od przerażenia, z jakim do mnie biegła, dotykały uspakajająco mojego czoła, pochyla się, poznaję ją nagle — po czym ją poznaję? — i to jest olśnienie, przynoszące ulgę; jeszcze mimo zaciśniętych powiek — poznaję; mimo ciemności, w której się znajduję — poznaję; po czym? — może po zapachach, jakie zawsze nosi ze sobą — trochę wanilii, proszku do szorowania garnków, cynamonu, pszennej mąki, ognia? Może po włosach, które rozpuszcza na noc; brązowych, ze srebrnymi nitkami babiego lata? Opadają matce poprzez twarz, bo porażona krzykiem, z jakim ją zbudziłam, nie dba o nic, nawet o swoje włosy — i to jest piękne — chwyta mnie w ich pajęczynę, znajomą od najwcześniejszego dzieciństwa; łaskocze, głaszcze, ucisza, lepiej niż potrafia jej palce, których się zlękłam, wpadam we włosy matki, omotywuję się nimi jak kokonem. To jest ocalenie i krzyk się cofa. Matka obejmuje mnie gęsto łaskawymi włosami, zapachem wanilii, mąki, cynamonu ognia.

Zasypiałam, już z głową na jej miękkich i ciepłych kolanach, schowana w jej włosy długie, do kolan, staroświeckie, staromodne, gęste, drżące pod moim oddechem jak strusie pióra — żywe i wiedziałam o nich wszystko: mogłam je trzymać, prząść z nich nitki, zasłaniać się nimi, ogrzewać, pocieszać, okrywać, zaplatać w warkocze, owijać dookoła palce, przegubu dłoni, szyi, brać między wargi, mieć na powiekach jak ciszę, która przychodziła razem z nimi, być w nich jak w deszczu spowita — bezpieczna. Matka obdarowywała mnie swoimi włosami jak kryjówką, w której nikt nie potrafiłby mnie odnaleźć. Lecz jak długo można ukrywać się za włosami matki?

Słyszałam ich szelest pod swoim oddechem, spokojny jak śmierć uschniętego liścia, który strącony ciszą opada w niej lekko ku ziemi, nie broniąc się wcale, albo motyla, który śmierć przyjmuje spokojnie na puszyste skrzydła zawsze otwarte barwami do słońca jakby rozłożone do lotu. I słyszałam: przeskakującą z nagła iskrę od włosów naelektryzowanych ciepłem moich warg; iskrę, która stawała się spadającą gwiazdą, kometą; i wszystkie dźwięki nocy, każdy oddzielnie, samoistnie: kruszenie starej cegły w murze naszego domu, osypywanie się ziaren piachu spod korzeni traw; i kroplę ściekającą wzdłuż omszałej cembrowiny studni, szczapę drzewa wysuwającą się spośród stosu polan, i bicie serca mojej matki, która siedziała bez poruszenia, nikt inny nie potrafiłby tak trwać w trosce, aby nie spłoszyć snu — ponieważ wierzyła, że zasnęłam.

Siedząca naprzeciwko mnie kobieta porusza się niespokojnie, jakby pragnęła zaprzeczyć, wyprzeć się tego snu. Jej ruch, wyrażający sprzeciw i chyba jeszcze lęk, ten ruch, jakże spontaniczny, nieskontrolowany odsłania ją, demaskuje, a mnie daje pewność siebie. Wiem, pragnęłaby teraz odgrodzić się ode mnie swoim formalnym uniformem, założyć go jak togę, jak pancerz, mający chronić ją przede mną, ale przecież to nie ona mnie, lecz ja jej powinnam się lękać?

Kobiety: jeszcze nie starej, lat trzydzieści dwa, może trzy. Kobiety: dbającej o siebie — niepotrzebnie. Kobiety: zmęczonej, z szarymi kręgami na powiekach, których nie stuszuje pudrem ani szminka nawet wtedy, kiedy kocha w zupełnych ciemnościach — owinięta nią szczelnie jak całunem, bo ciężka stora przy oknie dokładnie zasunięta, krąg światła spod słomianego chochoła wyłączony, tylko radio stojące na podłodze obok tapczanu mruga wciąż zielonym okiem, chociaż już dawno umilkła ostatnia bezdźwięczna muzyka z ostatniej stacji nadającej nocny program — wie o swoich szarych powiekach i śmiesznym gestem bez żadnego realnego znaczenia stara się ukryć je w zgięciu łokcia, jeszcze wierząc w pozorną ochronę tego gestu, zanim poczuje brzemienne obrzmienie powiek i zanim przypomni sobie, że przecież nikt na nią nie patrzy, nikt się jej nie przygląda, bo nikogo przy niej nie ma, chociaż kocha i chociaż nie jest sama, lecz tym gorzej dla niej, że nie jest sama.

Przyglądam się kobiecie z naprzeciwka wyzywająco. Dopadłam ją, więc śmieję się głośno, nareszcie ja się głośno śmieję, niszczę śmiechem, jak często wyobrażałam sobie taki moment, w którym i ja kogoś dopadnę, wykryję, spłoszę, zmuszę do ucieczki, do poddania, do prośby o łaskę, stając się tropiącym myśliwym ze zwycięzką pamięcią, myśliwym naganiającym w zasieki, w pułapkę.

Uderzę?

Żeby uderzający mógł zobaczyć swoją twarz. A jeśli ją widzi: w oczach jak lustrach tego, którego uderza? Dlaczego więc uderza raz jeszcze, i jeszcze? Był czas, że wierzyłam w siłę oczu Gorgony. Ale człowiek potrafi być sprytnym, szybko nauczył się uderzać nie patrząc w ogóle na Gorgonę. Byle szmatką można jej oczy zasłonić wcale nie trzeba promiennej tarczy Perseusza, najzwyklejszą szmatą, gałganem, wyciągniętym z cuchnącego śmietniska. Myślałam: człowieku, który powinieneś być dobry, nie uderzaj. Patrzę ci prosto w twarz, podnoszę głowę, nie kulę ramion tchórzliwym gestem; patrzę ci prosto w oczy, nie cofam ich, nie uciekam nimi, jestem ci równa: ty widzisz siebie w moich źrenicach, ja siebie w twoich, widzimy się wzajemnie, poznajemy dokładnie, znamy się od dawna, od zawsze, bo patrz — ufam ci i dzielę między ciebie a siebie to zaufanie, sprawiedliwie odłamuję połowy jakby to był chleb; niczego w zamian nie żądając, nawet nie pragnąc, po prostu: daję ci, weź, i odejdź, nie oglądając się nawet z wdzięcznością, gdyż za wdzięczność należy już odpłacać; a ja mówię: odejdź teraz. Myślałam: uderzyłeś jednak, lecz więcej nie potrafisz, wciąż trzymam głowę prosto, nie cofam oczu. Dlaczego uderzasz między oczy? Jeżeli ci to potrzebne, zamknę je sobie sama, swoimi palcami, położę palce na oczy jak kładzie się umarłym; podłużnym ruchem sięgającym od czoła poprzez brwi naciągnę powieki na źrenice, więc nie rzęsami fałszywie; rzęsy przepuszczają światło i mogłabym jeszcze ciebie podpatrzeć, więc nie rzęsami fałszywie przycisnę powieki, ale mocno, pewnie dłonią i stanę się ślepcem. Jeżeli przeszkadzały ci źrenice, w których widziałeś siebie, cóż prostszego, jak stać się ślepcem? Może zaufasz ślepemu? Może ci tak będzie łatwiej? Schowam twój lęk, twoją niewiarę pod swoje powieki, nie musisz obawiać się żadnego podstępu — ponieważ jestem ślepa.

(FRAGMENTY)

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

★ ★ ★

O gwiazdozbiory obce człowiekowi
usprawiedliwienia
istotne dla samych siebie
i astrologów sugestii!
nigdy nie odpowiecie
co jest prawdziwym upadkiem
samotność czy nieobecność
oddalenie czy codzienność
zbrodnia w sobie
czy na zewnątrz
człowiek
czy zwierzę przezeń obudzone
i żywe w pamięci i przyszłości
wolność czy niewola stwarzane co dzień
na własny użytek
i potępiane
nim cokolwiek się wydarzy
w naszej imaginacji
w mojej rzeczywistości
na ulicy otwierającej dwie strony horyzontu
w fajce gasnącej
otwierającej świat nim zgaśnie ostatni promień dnia

oto prawdziwy pojedynek Ateny
z genialną Arachne
z góry skazaną na klęskę
i wielką
przez swą świadomość artysty
nieustannie poczynającego świat
z bólem
i bez nadziei

oto prawdziwy pojedynek
wypieszczony w każdym
bezustanny
każdego dnia

HENRYK IZYDOR ROGACKI

Książka o Andrzeju Mielewskim

Jego decyzja zostania aktorem miała w sobie wiele z typowo modernistycznego buntu młodości przeciwko rodzinnym zakazom i obyczajowym konwenansom. Nie wolna była i od gorączkowego niepokoju poszukiwania wartości istotnych. Droga sceniczna rozpoczęła się od występów w wędrownych trupach teatralnych. Te wczesne lata nauki trudno jednak uznać za zmarnowane, skoro wprost z prowincjonalnych desek teatralnych znalazł się w teatrze Pawlikowskiego, artysty teatru, którego rolę w kształtowaniu się współczesnej myśli i praktyki teatralnej łatwiej nie docenić niźli przecenić. Tutaj pod czujną ręką pana na Medyce dojrzewał jego kontrowersyjny talent aktorski, tutaj nastąpiło zetknięcie młodego aktora z ideami teatralnymi Wyspiańskiego, tutaj także sekundowanie Walewskiemu wprowadziło go w praktyczno-techniczne arkana reżyserii. Wpisał się w Krakowie na stałe w historię polskiej sztuki aktorskiej. Wspomnijmy choćby o rolach najważniejszych: o Gustawie — Konradzie, o Cydzie, o Jaśku w wielkiej prapremierze „Wesela". Jeśli do grona krakowskich preceptorów dorzucimy jeszcze jedno nazwisko — następcy Pawlikowskiego Ludwika Solskiego — stanie się chyba rzeczą zrozumiałą, że te dojrzałe lata nauki mogły ukształtować osobowość artystyczną całkowicie świadomą, indywidualność okrzepłą i odpowiedzialną. Po tym twórczo-edukacyjnym epizodzie krakowskim objął własną placówkę teatralną, Teatr Popularny w Łodzi. Interesujące dzieje Andrzeja Mielewskiego, bo o nim cały czas mowa, przypomina praca Marii Kaczorowskiej - Herman koncentrująca się w zasadzie na łódzkim trzyleciu dyrektorskim aktora. W zasadzie, bowiem skupiając się na fragmencie artystycznego żywota nie rezygnuje z próby monograficznej prezentacji postaci bohatera. I tutaj trudno powstrzymać się od uwagi, że o ile okres przedłódzki przedstawiony jest dość drobiazgowo i solidnie, to czas po rezygnacji z placówki łódzkiej, prawda iż krótki, potraktowano enigmatycznie, jako okres schyłkowy. Zatrzymajmy się jednak dłużej nad zasadniczym zrębem książki, nad opisem trzech łódzkich sezonów Mielewskiego. Poprzedza go autorka charakterystyką Mielewskiego — aktora w teatrze Zelwerowicza, starając się wyśledzić źródła, tak silnego później, antagonizmu obu artystów. Po omówieniu założeń ideowych Teatru Popularnego, który był po raz pierwszy drugim stałym teatrem Łodzi, prezentuje Maria Herman, przede wszystkim w oparciu o prasę ówczesną, kolejne premiery młodego dyrektora próbując określić specyfikę każdego z sezonów, by w podsumowaniu dokonać uogólnienia i ukonstytuować Teatr Popularny w dziejach nowożytnej sceny polskiej. Mielewski pragnął stworzyć „teatr poważny, dostępny dla wszystkich i pod każdym względem wzorowy". Postawił na klasykę i na dramat najnowszy. Wystawiał Goethego, Szekspira, Schillera, odkrywał publiczności łódzkiej Ibsena, Björnsena i prawdziwą wielkość Wyspiańskiego, walczył o nowe teksty Przybyszewskiego i Żuławskiego.

W jego teatrze odbyła się polska prapremiera Tołstojowskiej „Ciemnej potęgi". Pomny związków z miastem, w którym tworzył chętnie, wprowadzał na scenę pisarzy łódzkich (choć w wypadku prezentacji dramatu St. Łapińskiego można się zastanawiać na ile była to przemyślana decyzja artystyczna, a na ile przedsięwzięcie koniunkturalne). Godne szczególnego oglądu są wysiłki Mielewskiego zmierzające ku temu aby jego teatr był teatrem kształcącym, teatrem, zrozumianym nie zrozumiałym, dla szerokiego kręgu widzów. Należy się jednak bacznie zastanowić nad tym, czy Teatr Popularny lat 1910—13 był w całym tego słowa znaczeniu teatrem Andrzeja Mielewskiego? Czy jego dyrektor dał jasną i sprecyzowaną wizję swego teatru, czy wytworzył swój własny styl, indywidualną linię repertuarową? Czy teatr był teatrem twórcy-reżysera? Chyba nie. Skłonny jestem raczej uznać Teatr Popularny za teatr Mielewskiego-aktora, pierwszego aktora i gwiazdy sceny przez się kierowanej, sceny, która w pełni była podporządkowana jego talentowi, zdolnościom i predylekcjom stricte aktorskim. Trudno bowiem nawet zainteresowania repertuarem patriotycznym w pierwszym, a społecznym w drugim rzędzie uznać za kontynuanty interesującej nas sceny, tym bardziej iż autorka książki nie stara się bynajmniej sprawy tej dogłębnie spenetrować, oryginalność i niepowtarzalność propozycji Mielewskiego wmawiając niejako czytelnikowi, którego spodziewany sceptycyzm zbyt często stara się przełamać oddając głos danym statystycznym, których przydatność do analizy zjawiska, co prawda socjologicznego ale w pierwszym rzędzie estetycznego wydaje się wątpliwa. Sylwetkę Andrzeja Mielewskiego prezentuje M. Herman w sposób żywy i barwny, jest wyraźnie zafascynowana swym bohaterem i jego dziełem. Aż tak zafascynowana, iż zapomina, że łódzki Teatr Popularny nie był bezprecedensowym ewenementem, lecz tylko jednym z ogniw procesu kształtowania się XX-wiecznej sztuki powszechnej (stąd brak koniecznych, moim zdaniem, punktów odniesienia), zapomina, że Andrzeja Mielewskiego nie można, bez wielkiego ryzyka, stawiać obok Tadeusza Pawlikowskiego, a idee Stanisława Wyspiańskiego inscenizacji „Dziadów" nie sprowadzają się tak łatwo do trzech proponowanych tendencji.

W pełni rozumiejąc trudności teatropisania rekonstruującego, można by też zapytać co to znaczy „wyrabiać emploi", co to jest „trafność aktorskiego ujęcia" lub rola zagrana „b. dobrze", czy też jak można głosić wielkość przedstawienia na podstawie jego prasowych zapowiedzi (str. 91). Całkowicie doceniając chęć dotarcia do odbiorców nie fachowych (choć nakład tylko 800 egz.) można też dyskutować nad przydatnością rozlicznych streszczeń dzieł dramatycznych i to nawet tak znanych jak Gogolewski „Rewizor"!

Mimo jednak wyliczonych usterek książkę p. Herman należy uznać za interesujący i co ważniejsze ambitny przyczynek do historii naszej sceny, pozycję której wartość i przydatność naukowa wspierana jest pasjonującym aneksem i nadzwyczaj starannie opracowanym wykazem repertuaru. Wspomnijmy i o ciekawym materiale ikonograficznym, częstokroć po raz pierwszy publikowanym. W reklamowanym wyżej dziale uzupełnień radzę teatrologom — pedantom nie zaglądać do „Bibliografii", zwłaszcza części „Literatura".

Maria Kaczorowska - Herman: ANDRZEJA MIELEWSKIEGO TEATR POPULARNY W ŁODZI (1910—1913). Wyd. Łódzkie 1970.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

LUDOWE I OGÓLNOLUDZKIE

Nazwisko Stanisława Czernika kojarzy się czytelnikowi z prądem literackim zwanym autentyzmem, który to zrodził się w latach trzydziestych okresu międzywojennego i właśnie w jego osobie znalazł głównego prawodawcę. „Okolica Poetów" — organ autentystów — w olbrzymiej mierze zapełniana była pracami teoretycznymi Czernika. Ten człowiek potrafił żyjąc na prowincji zaktywizować wielu młodych talentów poetyckich z całej Polski, przyciągnąć ich do siebie, otoczyć redaktorską opieką. Prawdą jest też, że spośród licznej rzeszy jego współpracowników większość rekrutowała się z tzw. dołów społecznych, przede wszystkim zaś z warstwy chłopskiej (np. Bolesław Ożóg — dziś wybitny poeta). Oczywiście sam Czernik także pochodził ze wsi. Te fakty miały niemałe znaczenie, jeśli idzie o charakter ideowy i artystyczny spuścizny literackiej autentystów. Z tego to właśnie względu pojęcie polskiego autentyzmu połączyło się nierozerwalnie z pojęciem ludowości.

Podać definicję ludowości jako takiej nie jest łatwo. Zbyt to wieloznaczny i o nieostrym zakresie termin. Nie wiadomo też dokładnie, co właściwie rozumiemy mówiąc o ludowości w literaturze, w poezji. Czy mamy na myśli korzystanie ze wzorów formalnych literatury ludowej, czy też raczej chodzi nam o rzecz bardziej złożoną, taką jak specyficzność widzenia i odczuwania świata, właściwą ponoć ludowi, a możliwą do wykrycia w utworach pisarzy wywodzących się z ludu. Tą problematyką zajmował się przez całe lata Stanisław Czernik. Świadom swojej odrębności artystycznej i osobowościowej od reszty pisarzy polskich — w większości poszlacheckich lub mieszczańskich — szukał formuły dla tej różnicy gatunkowej, która stanowiła podstawę jego odmienności i fenomenu niepowtarzalności w polskiej tradycji literackiej. Poszukiwanie owej formuły było czymś więcej niż zadaniem systematycznego badacza. Można śmiało powiedzieć, że był to trud znalezienia odpowiedzi na sfinksową zagadkę własnego życia. Szukał dla niej wyrazu w swoich wierszach, prozie powieściowej, a także w formach dyskursywnych. Przykładem tego trudu godnego wielkiego szacunku jest ostatnio wydany zbiór jego szkiców i recenzji. *) Czytając go nie można oprzeć się wrażeniu, że jedna myśl przyświeca tym 19 pracom. Myśl, rzecz jasna, rozczłonkowana na wiele problemów. Może nie bylibyśmy zbyt dalecy od sedna sprawy, gdybyśmy ją scharakteryzowali jako intelektualne zabieganie o to, aby nadać kulturze ludowej należną jej wysoką rangę i właściwe miejsce w kulturze narodowej i ogólnoludzkiej. Ta dążność zrodziła się zapewne u Czernika z przeświadczenia, że w istocie kultura ludowa zawiera wiele poważnych wartości, niedostatecznie dotąd przez polskie „góry społeczne" docenianych. Drugim aspektem tej sprawy jest teza, że lud — twórca tych wartości, godzien jest takiego samego szacunku, jak i te warstwy społeczne, które tradycyjnie nazywało się kulturotwórczymi, bo niby to TYLKO one wytworzyły to, co nazywamy kulturą polską, a patrząc szerzej w panoramę dziejów świata, kulturę ogólnoludzką. Otóż, zdaje się mówić Czernik, jest to fatalny błąd i ślepota elit społecznych, bo po pierwsze kultura ludowa zawsze była od tzw. elitarnej kultury pierwotniejsza, a zatem służyć tej mogła i faktycznie służyła za wzór. Po drugie to nieprawda, że wydawała tylko słabe owoce, bo czymże jak nie arcydziełami są ruskie byliny, jugosłowiańska epika, czy twórczość rumuńskiego mistrza Manole, a także sagi islandzkie i wiele, wiele innych do dziś wzruszających dzieł literackich tego rodzaju. Po trzecie, jeśli już o nasz grunt chodzi, to, czy mogło pojawić się fenomenalne dzieło Jana Kochanowskiego bez istniejącej przed nim bogatej tradycji rodzimej poezji ludowej? Ślady obecności tej poezji są u Mistrza z Czarnolasu aż nadto widoczne. A z czymże innym jak nie z twórczością ludową związana była polska poezja średniowieczna? Spójrzmy wreszcie w dzieła naszych największych romantyków, z jakim oni szacunkiem odnosili się do tego, co ludowe — Mickiewicz, Słowacki, Norwid. Wspomnieć tu także trzeba i Żeromskiego.

Odpowiadając sobie na własne pytanie, w czym przejawia się jego ludowość, twierdził, że w micie antenatów. Do tego problemu sięgał ciągle. Po raz ostatni pisał o nim w zaczętym i przez śmierć przerwanym cyklu wspomnieniowo-refleksyjnym (wstęp do tego cyklu znajduje się w niniejszym zbiorze pt. „Przed ciszą"). Niełatwy to wcale problem, chociaż łatwo poddający się różnym konceptualizacjom w świetle różnych filozofii. Nie tu jednak miejsce na jego analizę dokładną. Wystarczy nam stwierdzić pobieżnie na czym on polegał. A w tym autor pomaga nam wydatnie: „(...) dla mnie sprawą wiecznego niepokoju twórczego stawały się takie pytania: kim jestem, czym byłem? Jakie były moje dzieje nim stałem się ciałem i duchem? Jaka jest moja rola w tych dziejach, to znaczy co mi przypadło w dziedzictwie z dzieł, czynów, prac, odkryć, przeżyć, losów tego łańcucha pokoleń, którego ostatnim, narosłym ogniwem jestem „ja"?". Oto mit antenatów, sięganie do korzeni drzewa genealogicznego. Po co? Po to, aby uświadomić sobie swą własną, psychiczną i ogólniej — gatunkową przynależność do tego anonimowego łańcucha pokoleń ludzkich, które przez wieki za swoją pracę zyskiwały tylko pogardę. I po to wreszcie, aby po uświadomieniu sobie tego związku z nimi wypełnić synowski obowiązek — nadać ich dziejom i pracy sens moralny i wynieść na światło słoneczne wszystkie kulturowe wartości, które stworzyli jako wartości uniwersalnie ważne, bo wszechobecne we wszystkich rejonach kultury światowej. Czernik nie tylko nie widział przepaści między tym co ludowe, a tym co uniwersalne, ale przeciwnie, dostrzegał jak najściślejszy związek tych kategorii. Czy jednak ów mit antenatów wyczerpuje się cały w problematyce ludowości, jak to sugeruje pisarz, wątpić wypada. Raczej jego zakres znaczeniowy krzyżuje się tylko z zakresem tego drugiego pojęcia. To, co wykracza poza wspólny obręb, stanowi już tylko sferę odwiecznych egzystencjalnych pytań człowieka. Rzecz w tym, że te pytania ukonkretniły się u Czernika w takiej a nie innej formie. Nie sięgał on na przykład do mitów biblijnych ani greckich, ale do własnych, autentycznie przeżytych mitów rodzinnych, ludowych. Oczywiście decyzja ta nie wymagała jakiegoś specjalnego namysłu. Była po prostu determinantą losu pisarza. Inaczej nie sposób było uczynić, skoro ta prawda nawet w snach szukała potwierdzenia, jak o tym pięknie napisał w tytułowym szkicu „Sny i widma".

---

*) Stanisław Czernik — „SNY I WIDMA". Wyd. Łódzkie, 1971.

Legenda koła z Kreisau

Do ulubionych tematów zachodnioniemieckiego pisarstwa historycznego należy tzw. koło z Kreisau. Mianem tym określa się grupę oficerów i polityków niemieckich, którzy byli inspiratorami dokonanego przez płk C. von Stauffenberga 20 lipca 1944 r. nieudanego zamachu na Hitlera. Termin „koło z Kreisau" był używany przez samych członków grupy i pochodzi od nazwy majątku jednego z jej przywódców, hrabiego Helmuta von Moltke. Chociaż ten dziejowy epizod jest na pewno ważny i ciekawy, niemniej interesująca jest legenda, jaka wokół niego urosła, która jest wdzięcznym przedmiotem dla osobnych badań. Koło z Kreisau urosło w niej do rozmiarów symbolu ruchu oporu, jaki rzekomo miał ogarniać wówczas coraz szersze kręgi niemieckich oficerów, urzędników, junkrów itd. Skład spiskującej grupy był wielce zróżnicowany, bowiem wchodzili do niej zarówno przedstawiciele utytułowanej arystokracji, wyższych sfer urzędniczych i kół dyplomatycznych, jak jezuici, reprezentanci kościoła protestanckiego, wreszcie socjaldemokraci. Liczne są więc dzisiaj kręgi, które przy pomocy legendy koła z Kreisau mogą zaspokajać swoje obecne zapotrzebowanie na dawniejsze powiązania z opozycją antyhitlerowską, skoro hitleryzm wciąż w wielu środowiskach licznych krajów ma zazwyczaj zdecydowanie złą prasę. Co bardziej krytyczni autorzy nie zdradzają jednak skłonności do dania wiary legendzie. Autor znanej książki o Hitlerze, brytyjski historyk Alan Bullock powiada nawet wprost, że „nieco ryzykownie byłoby mówić o „niemieckiej opozycji" określając tym terminem kilka nielicznych w gruncie rzeczy i luźno z sobą powiązanych grupek o zmiennej liczbie uczestników, nie mających żadnej wspólnej organizacji ani wspólnego celu..."

Legenda koła z Kreisau tu. „Legendy historyczne odpowiadające grupom, które je tworzą, mają bardzo trwały żywot, jak na przykład legenda o rycerskości niemieckich armii, której korzenie tkwią w przeszłości; armia cesarska z epoki wilhelmowskiej uważana była za ostoję honoru, moralności i wszelkich staropruskich cnót narodu niemieckiego. Nie podważyła tego ani klęska militarna w 1918 roku, pokryta drugą legendą o „ciosie sztyletu w plecy" zadanym przez niemiecką rewolucję, ani przegrane rozgrywki niemieckiej generalicji z Hitlerem i jego partią, których ofiarą padli generałowie von Schleicher, von Blomberg i von Fritsch, ani klęska w czasie drugiej wojny światowej".

Prof. Tadeusz Cyprian, z którego nowej książki, zatytułowanej „Wehrmacht. Zbrodnia i kara" (Wydawnictwo MON, 1971) zaczerpnąłem te zdania, podjął się nie tylko konfrontacji legendy z rzeczywistością, ale także — co jest nierównie trudniejsze — próby jej wytłumaczenia w szerszej perspektywie historycznej. Uczynił to w przeświadczeniu, że do spraw tych należy powracać dopóty, dopóki żywa będzie zarówno legenda, jak i przede wszystkim rzeczywistość niemieckiego militaryzmu. Podczas gdy w swoich poprzednich publikacjach zajmował się głównie kręgiem spraw związanych bezpośrednio z działalnością Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze, teraz rozpoczął swoje rozważania od czasów fryderycjańskich, zaś doprowadził je do współczesności. Nie jest oczywiście niespodzianką, że z konfrontacji tej legenda nie wyszła obronną ręką, również i ta, która dotyczy koła z Kreisau. Owa ostatnia próba pozbycia się Hitlera przez Wehrmacht podjęta w sytuacji, kiedy było już jasne, że nie ma co liczyć na sukcesy militarne, podobnie „jak i poprzednie, pozostała bez rezultatu, gdyż poza stosunkowo małą grupą wytrwałych spiskowców wojskowych i cywilnych, olbrzymia większość zarówno armii, jak i narodu była zanadto zafascynowana sukcesami Hitlera, by myśleć o rewolucji. Dlatego do rzędu legend należą relacje o stałym, szeroko rozgałęzionym ruchu oporu przeciw Hitlerowi, ruchu, który miał przynieść wolność narodowi niemieckiemu i przywrócić wolność narodom Europy. Grupa spiskowców obejmowała ciągle te same nazwiska i w masie Wehrmachtu stanowiła bardzo małą, izolowaną od otoczenia wysepkę".

Po nieudanym zamachu, 24 lipca w armii niemieckiej zastąpiono dotychczasowe salutowanie obowiązkowym pozdrowieniem hitlerowskim. Dnia 20 lipca Guderian wydał rozkaz, w którym oznajmiał, że każdy oficer Sztabu Generalnego ma obowiązek aktywnego współdziałania we wpajaniu idei narodowosocjalistycznych w armii i ma uważać to za swój służbowy obowiązek. A. Bullock z ironią zauważa, że gen. Guderian, który w swoich pamiętnikach — tłumaczonych niegdyś i na język polski — tak szeroko (i pochlebnie) rozpisuje się na temat charakteru niemieckiego Sztabu Generalnego, ani nie przytacza tego dokumentu, ani też nie wspomina o nim". Cóż — legenda nakłada swym wyznawcom także i obowiązki...

JÓZEF GRZELAK

(Dalszy ciąg ze str. 1)

tych obciążeń — nam chodzi o Sztukę.

Może ktoś nie uwierzyć, ale na Festiwalu Sopockim nikt nie zarabia. Zabawa kosztuje 3 miliony złotych — wpływy z imprezy kształtują się także w tych granicach. Organizatorzy wychodzą na zupełnie okrągłe zero. Przepraszam! „Kąpielisko Morskie Sopot" zarabia na czysto... 3,5 tys. zł. Słownie trzy i pół tysiąca złotych.

Czy to powód do rozdzierania szat? Nie wiem. Jeśli przez dziesięć lat Polska ma masowe igrzyska, na które co prawda psioczy, ale które ogląda — to może w tym tkwi zasadniczy sens imprezy.

Propaganda polskiej piosenki? Coś mi trudno w to uwierzyć. Transakcje zawierane w Sopocie są śmiesznie małe. Tzn. nasze transakcje, bo ci panowie z zagranicznych wytwórni płyt i agencji rozrywkowych na pewno załatwiają swoje interesy ku zadowoleniu obu stron.

Jedną niewątpliwie dobrą propagandą, która pójdzie w świat to opinia o orkiestrze Henryka Debicha. Ten niesłychanie zapracowany i utalentowany artysta nadaje imprezie ton, przydaje jej wdzięku i czułe gesty piosenkarek nie są tylko pustą kurtuazją, bo to przecież niewątpliwie Debich jest współtwórcą wokalnych sukcesów. Bez niego Festiwalowi na pewno zabrakłoby cząstki owego klimatu, który tworzyć mogą tylko prawdziwi artyści. Oni są bowiem najważniejsi — nie instytucje, choćby najbardziej szacowne.

Wygłoszę opinię światoburczą, ale wydaje mi się, że zbyt poważne instytucje po prostu nie potrafią obracać się w kręgu spraw lekkiej muzy i problematyki. Jeśli w grę wchodzi Ministerstwo, PAGART, jakieś wysokie Wydziały Kultury — od razu wiadomo, że cała sprawa się położy, przynajmniej w sensie finansowym. Za dużo u nas Sztuki wokół piosenki, która na całym świecie znaczy ROZRYWKĘ i PIENIĄDZ.

Śmieszna rzecz, ale amerykańskich piosenkarzy typuje do Sopotu Departament Stanu. Za poważna instytucja, aby mogła się tym zajmować. W efekcie przysłano szalenie sympatycznego chłopaka z gitarą, który śpiewa w stylu folk i pasuje do festiwalowej rozrywki, jak pięść do nosa. Natomiast para Amerykanów — Mimi Farina i Tom Jans — przysłana przez maleńką wytwórnię płytową była na sopockiej estradzie zupełnie na miejscu.

W ogóle charakterystyczny był pod tym względem Dzień Płytowy. Wytwórnie prezentowały takie utwory i wykonawców, którzy publiczności się mogą podobać. Bo przeciętny widz mało się zna na oryginalnym aranżu i głębi głosu — przyswaja natomiast wpadającą w ucho melodię i zręczne wykonanie. I znów rzecz charakterystyczna — te kraje gdzie wytwórnie płyt robią SZTUKĘ i POLITYKĘ KULTURALNĄ, prezentowały zespoły na pewno świetne, ale tak się mające do popularnej rozrywki, jak nowoczesny poemat do powieści sensacyjnej. Sopocki Festiwal wciąż się nie może zdecydować — preferować ambicje artystyczne czy komercjonalizm. Próbuje kojarzyć i dlatego w bilansie wychodzi na zero.

Tyle rozważań ogólnych. Zwróćmy się jednak za kulisy, bo te Czytelnika interesują najbardziej. Otóż kulisy nie są żadną sensacją. To tylko młodzi zbieracze autografów myślą, że w kawiarni pod sceną i w Grandzie dzieje się „bóg wie co". Kulisy to zwykła nasza siermiężna codzienność.

Czy może nas zdziwić, że rewelacyjna piosenkarka polska Zdzisława Sośnicka jest — delikatnie mówiąc — niedostrzegana przez menagerów polskiej piosenki? Przecież Sośnicka nie ma żadnych atutów — tylko bardzo dobrze śpiewa. Na występy do ZSRR pojechała przez przypadek. Bo przypadek chciał, że Teresa Tutinas zrezygnowała z występu na jakimś koncercie i zastępstwo zaproponowano Sośnickiej. Usłyszał ją tam (przypadkowo) dyrektor radzieckiego „Gosskoncertu" i zaprosił na występy... Ale mówmy nieco poważniej.

Sopot czyli jest jak jest

Dlaczego dziewczyna o takim talencie musi latami czekać na sukces, dlaczego spotyka na swej drodze obojętność, bariery nie do przebycia?

Dlaczego piosenkarka, która już od paru lat dała się poznać z jak najlepszej strony... nie nagrała jeszcze własnego long-playu? Czy mogę uwierzyć, że Sośnicka nie chce nagrywać. Raczej skłonny jestem przypuszczać, że nie chcą „Polskie Nagrania". Dlaczego?

W Sopocie nie było plakatów reklamujących Sośnicką. Pierwszą partię — o którą sama się zwróciła — rozkradziono, drugą przysłano w połowie festiwalu i nie zauważyłem ich potem na ulicach. Organizatorzy pisząc w folderze o Sośnickiej stwierdzają, że współpracuje z rozgłośnią poznańską, ale sama piosenkarka oświadcza, że nie nagrywa tam, bo „nie ma funduszów na nagrania". A w Warszawie — gdzie fundusze są — nie nagrywa, bo jest przecież z Poznania.

Na Sośnicką uwzięli się wrogowie i przyjaciele. Delegacja tych ostatnich na przykład zakwestionowała jej udział w koncercie Dnia Międzynarodowego. Otóż Sośnicka otrzymała drugą nagrodę na Festiwalu w Rostocku więc — twierdziła delegacja — nie może stawać do konkursu z tą samą piosenką. Chytra intryga nie powiodła się, bowiem w Rostocku nagradzano piosenkarzy, a w Sopocie piosenki — nie było więc regulaminowych przeszkód. Faktem jest jednak, że niemal do ostatniej chwili polska piosenkarka nie wiedziała czy wystąpi i dyskusje panów organizatorów i obserwatorów kosztowały ją na pewno zbyt wiele nerwów.

Nerwowo nie wytrzymała na przykład młodziutka Belgijka Samantha, która na oczach tysięcy telewidzów zwaliła się z nóg. Znany warszawski prezenter radiowy skomentował to słowami, „nie dziwię się, „Mazurska kraina" jest tak niedobrą piosenką, że istotnie można paść trupem"...

No cóż, piosenkarstwo nie jest wbrew pozorom zajęciem lekkim, łatwym i przyjemnym. Wie o tym Zdzisława Sośnicka — wie o tym młodziutka Christiane. Pierwsza nie ma w ogóle impresaria — druga na pewno drżała ze strachu, aby ów kostyczny pan z Belgii, który ją do Sopotu przywiózł, nie stracił swoich pieniędzy zainwestowanych w imprezę. W efekcie — zbyt wielkie napięcie nerwowe i paraliżujący szok w świetle reflektorów.

Nie była to jedyna sensacja — nie zakulisowa zresztą, bo rozgrywająca się na oczach milionów telewidzów. Pierwszego dnia na skutek przerwy w zasilaniu energii elektrycznej nastąpiła kilkudziesięciosekundowa ciemność. Zgasły światła w całej Operze Leśnej — ogromny park z wielotysięcznym tłumem pogrążony został w mroku. Zdążyłem wówczas pomyśleć, że przecież wystarczy jeden histeryczny krzyk jakiejś przerażonej kobiety, a te tłumy runą na oślep w dół tratując się nawzajem. Na szczęście za chwilę zapłonęło światło.

Ale co czuła Su Kramer — piosenkarka, która w tym właśnie momencie znalazła się na estradzie?

W parę minut potem roztrzęsionym głosem mówiła za kulisami do mikrofonu, który jej podsunął Zbyszek Wojciechowski z łódzkiej rozgłośni:

„Ja w tym momencie zupełnie nie wiedziałam co mam robić. Instynktownie dalej śpiewałam, ale nie mogłam... śpiewałam, śpiewałam, ale mikrofon już nie działał. Nie słyszałam swojego głosu... Nie słyszałam wcale muzyki, bo orkiestra przestała grać i chciałam jak najprędzej uciec za kulisy... Ciemno, chciałam wracać za kulisy, do domu... Za chwilę orkiestra zaczęła ponownie grać i przestała... Myślałam, że dla mnie festiwal się już skończył... Po pewnym czasie było już światło, zaczęłam ponownie śpiewać...".

Su Kramer wyśpiewała na tym koncercie drugą nagrodę. Ponieważ pierwszą otrzymała Samantha Jones — złośliwi mówią, że obie laureatki łączy... awaria. Otóż Samantha Jones gra w kolorowym filmie realizowanym przez brytyjską wytwórnię „Telebureau". Film będzie nosił tytuł „Piosenki Sopotu" prezentowane przez angielską piosenkarkę. Ponieważ przy zdjęciach kolorowych potrzebne jest dodatkowe oświetlenie — nastąpiło przeciążenie zasilania i w efekcie awaria. Poza tym w Sopocie pracowała również kamera polskiej telewizji kolorowej, co również nie pozostało bez wpływu na tzw. „pobór mocy w szczycie wieczornym".

Tylko Zdzisława Sośnicka — trzecia laureatka — nic z awarią nie miała wspólnego. Chociaż — kto wie — gdyby nie film, który — wg pobożnych życzeń organizatorów — ma być reklamą Sopockiego Festiwalu i polskiej piosenki — gdyby nie fakt, że Samantha Jones jest tego filmu gwiazdą... Gdyby nie zgasło światło i Su Kramer nie znalazła się w sytuacji utrudniającej normalne wykonanie po raz drugi piosenki w stanie lekkiego szoku... Niewykluczone bowiem, że i ten moment jury wzięło pod uwagę...

Bo opinia jest dość zgodna. Istotnie te trzy piosenkarki — Zdzisława Sośnicka, Su Kramer i Samantha Jones — zdecydowanie dystansowały pozostałych wykonawców. Ale... kolejność nagród można odwrócić lub przetasować i też się nie popełni błędu.

Zdzisława Sośnicka na natarczywe pytania, czemu wokół niej istnieje taka obojętność lub niechęć menagerów, czemu sama musi myśleć o plakatach, zabiegać o utwory — odpowiedziała wymownie: „Proszę pana, ja jestem bardzo szczęśliwa, że mogłam wystąpić w Sopocie".

Dziękuję, nie mam pytań — można rzec. Jeśli ta piekielnie utalentowana dziewczyna dopiero teraz po latach mogła stanąć na sopockiej estradzie — traktuje to jak szczęście, które omijało ją przez siedem lat. Nie chcę wymieniać kto w ciągu owych siedmiu lat reprezentował Polskę w Sopocie — dziś większość tych nazwisk nic państwu nie powie. Ani nie zaśpiewa.

Miało być o Sopocie, a jest przeważnie o Sośnickiej. Ale to nie paradoks. Sopot jest bowiem okazją do refleksji na temat piosenki. Oczywiście takie refleksje są raczej sztuką dla sztuki — na festiwalu nikt w Polsce nie zarabia, ale na piosence jednak tak. I to sporo.

Kiedy więc sprawa zaczyna dotykać portfeli trudno jest się spodziewać jakiejś odmiany, dokonanej przez właścicieli owych portfeli.

A jednak Sopot jest sympatyczny. No trudno — jest jak jest i cóż tu zmieni publicysta, który się trochę poirytuje?

„Po co te pytania, po co? — wołał na konferencji prasowej znany warszawski dziennikarz — pytajcie o to pana... albo pana...". Wykropkowałem te nazwiska, bo wątpię, żeby ci panowie mogli coś odpowiedzieć na temat piosenki skoro się zajmują polityką kulturalną. Ale tak sobie myślę, że piosenka też mieści się w polityce kulturalnej i choć niedobrze byłoby gdyby typowaniem na Festiwal Sopocki zajmował się — jak w USA — Departament Stanu — to jednak szkoda, że to się tak wszystko kitwasi w tzw. „towarzystwie".

Ale festiwal jest sympatyczny. Pozbawia nas kompleksów, gdy widzimy, że reprezentantka Wielkiej Brytanii wcale nie jest lepsza od reprezentantki Polski. Trochę te moje zachwyty rozwiał siedzący obok Bohdan Drozdowski, który lata mieszkałem w Anglii, zajry lata mieszkałam w Anglii, zajmowałem się kulturą i sztuką, lecz pierwszy raz słyszę o Samantha Jones"...

Tak więc festiwal mamy taki jaki mamy. Albo gwiazdki mało znane lub nieznane we własnym kraju brylują na sopockiej estradzie w barwach narodowych, albo sławy gasnące... Jedyna Nancy Wilson była autentyczną atrakcją i jest to rzeczywiście pretendentka do korony po słynnej Elli Fitzgerald — jak pisał „Times" jeszcze w 1964 roku. Do tego czasu Nancy koronę chyba już pobrała za zaliczeniem.

Więc co w końcu? — zapyta zirytowany czytelnik — jaka jest pańska ocena festiwalu? Powiedziałem już — jest sympatyczny. Bez niego telewizja byłaby nudniejsza, no i w końcu te trzy i pół tys. złotych zarabiane co roku przez „Kąpielisko Morskie Sopot" też nie są do pogardzenia.

JERZY WILMAŃSKI

Fragmenty pamiętników

Aznavour o Aznavourze

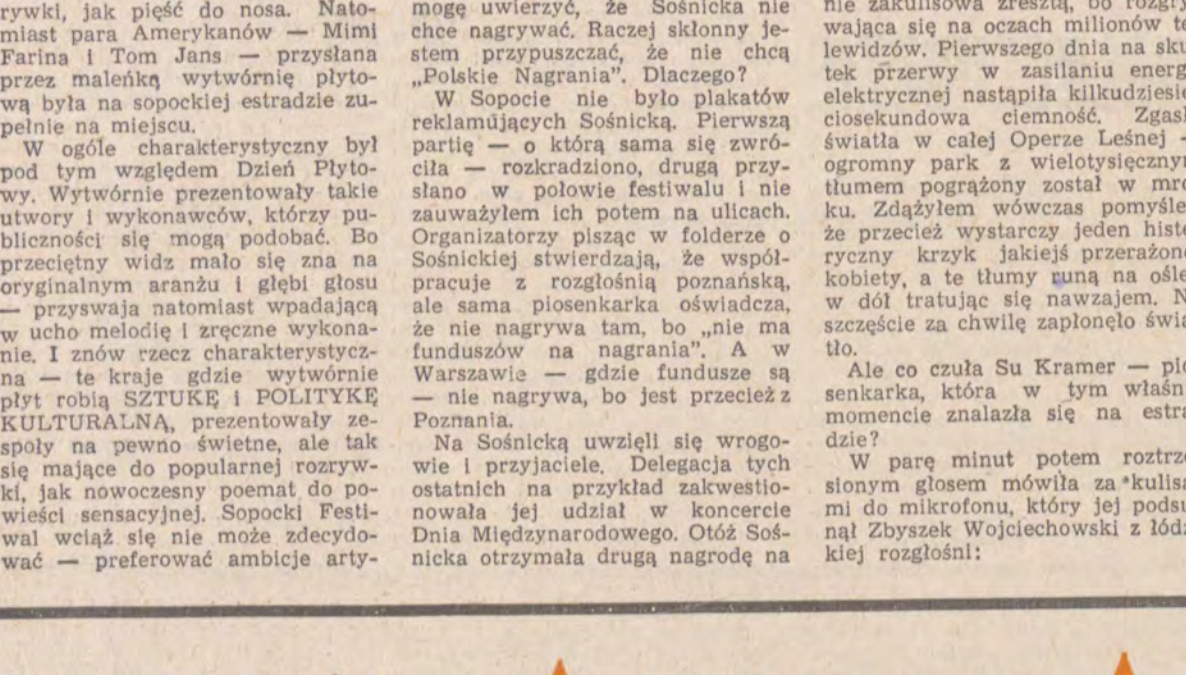

Dowiaduję się pewnego dnia, że szukają kogoś do rewii, która ma odbyć tournée po Francji. Zgłaszam się w wielkim studio tanecznym przy rue Pigalle. Niejaki pan James pyta mnie co właściwie umiem. „Śpiewam, poza tym tańczę i gram na scenie".

„Dobrze. Niech pan pójdzie do naszego pianisty, monsieur Jean Cazenave, i niech pan chwilę z nim poćwiczy. Potem posłucham pana".

Więc śpiewam. Ktoś krzyczy z sali: „Zaangażowany. Odejść". Ktoś inny skrzeczy: „Następny!".

Nazajutrz zaczynają się próby. Orientuję się bardzo szybko, że moje minimalne wynagrodzenie dostaję za coraz cięższą harówkę. Ale nie zrzędzę. Teraz nie byłby to odpowiedni moment. W owych czasach kontrakty były rzadkością, a ja cieszę się z tego, że znalazłem ten nędzarski zarobek.

Mówię do siebie: „Pewnego dnia powetuję to sobie. Wtedy ja będę dyktował warunki". Ta myśl nie opuszczała mnie nigdy w tych latach, w których musiałem nieraz znosić cyniczny wyzysk. Sądzę nawet, że trudności i upokorzenia jakich doznawałem, by wyżyć, umacniały tylko mój opętańczy upór robienia kariery w obranym przeze mnie zawodzie, wbrew wszystkim i wszystkiemu.

* ☆ *

Zamieszkałem u Edith Piaf.

Kiedy jestem teraz na scenie czuję się jak sierota. Śpiew mój nie płynie z serca. Moje ucho wykrywa niedoskonałości. Ciągle odnoszę wrażenie, że w moim gardle brak jakiegoś jednego tonu.

Mój program jest śmiertelnie smutny. Jedna po drugiej zdarzają mi się wpadki. Zza kulis dochodzi mnie głos Edith, która chce mi dodać odwagi: „Śmiało, możesz ich zdobyć, ty ich zdobędziesz!".

Niestety, nic się nie daje zrobić. Mój duch, moje ciało, wszystko we mnie zdradza śpiewaka duetowego. Czuję, że będę wygwizdany. Ktoś krzyknął: „Dość". Wyprowadzono mnie ze sceny... To prawdopodobnie mnie uratowało.

Dzień spędziłem u Raoula Bre-

ANTONI SZRAM

Stanisław Cuchra - Cukrowski

Co nowego słychać u architektów wnętrz w Łodzi?

Odpowiedź na to pytanie dali liczni plastycy zrzeszeni w sekcji A. W. Związku Polskich Artystów Plastyków. Wszystkie znaki nad łódzkim niebem wskazują, że owa specjalizacja zanika naturalnie, a artystów czeka skansenowa przyszłość. Trudno sobie dziś wyobrazić budowę nowych pawilonów, nowych obiektów w naszym mieście bez zagospodarowania estetycznego ich wnętrz. Nowych budynków trzeba z pewnością będzie postawić bardzo dużo. Cóż, sztuka zakłada bardzo ścisły kontakt między człowiekiem, a naturą; jego rytmy i rytmy natury aby były identyczne potrzebują twórczej interwencji człowieka — również interwencji artysty architekta wnętrz.

Stanisław Cuchra - Cukrowski znany łódzki artysta plastyk jest autorem architektury wnętrz muzeów w Polichnie, Kutnie oprawy plastycznej ekspozycji Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi, projektantem wielu modernizujących się lokali usługowych. Przewodniczący sekcji A. W. okręgu ZPAP Stanisław Cuchra-Cukrowski martwi się o łódzkie wystawiennictwo, ekspozycje wnętrz, których wartości się nie docenia. Inwestorzy nieproporcjonalnie do kosztów całej inwestycji — świadomie ograniczają zakres prac plastycznych, rezygnując z atrakcyjności przedmiotów we wnętrzu niemal każdej nowej budowli.

Każde wnętrze architektoniczne jest sferą oddziaływań masowych, spełnia swoje zadanie, gdy potrafi narzucić odbiorcy to, do czego zmierza. Cuchra-Cukrowski powiada: „Architektura wnętrz jest sztuką organizowania przestrzeni dla potrzeb człowieka. Nie są to wyłącznie problemy zabezpieczenia wygody, właściwych warunków, a więc funkcji użytkowych, i środków jej realizacji z niezbędną wiedzą fachową i towarzyszącymi problemami technicznymi. Architektura wnętrz musi zaspokoić nasze potrzeby estetyczne, nasze upodobania i ambicje" W tym kontekście zrozumiałe jest odchodzenie od powszechnych normatywów estetycznych czy artystycznych, jako form związanych z określonymi treściami do wyeksponowania; do rewolucji wyobraźni człowieka.

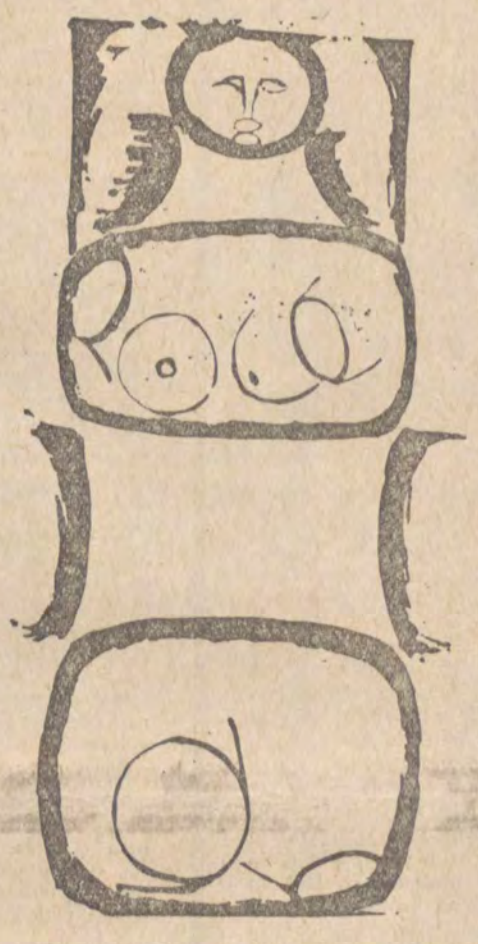

A. Wróblewski. Kobieta abstrakcyjna (Gwasz — 1949)

Cuchra-Cukrowski podkreślał, że nie istnieje nigdy wrażenie czysto bierne. Głosi: *„Funkcja wnętrza — jakże szerokie i wielopłaszczyznowe pojęcie, to także atmosfera, nastrój, stworzenie oprawy dla człowieka. Eliminacja tego co byłoby przypadkowe, zbędne. Tworzenie organizmu harmonijnego, który nie dominuje nad użytkownikiem"*. Skutecznie przełamał on zasadę „dekorowania" sal w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego. Służebność wobec eksponatów — jako wykładnik wyrazu plastycznego — widoczna jest również w projekcie Muzeum Bitwy nad Bzurą w Kutnie.

Okres współpracy architekta Cuchra-Cukrowskiego z kowalem Michałem Gałkiewiczem, należy do najciekawszych w działalności. Wspólne aranżacje wnętrz muzealnych zaliczyć wypada do wybitnych osiągnięć w plastyce wystawienniczej. Dwa temperamenty artystyczne, dwa światy zostały określone formami geometrycznymi i bezforemnymi, rygorystycznymi i miękkimi — zawsze od strony warsztatowej na bardzo wysokim poziomie.

„W swojej pracy zawsze będę dążył do tego co nazywamy pięknem i funkcją, będzie to w moim rozumieniu, poszukiwanie formy adekwatnej do treści. Naturalnie, niesłychanie trudno powiedzieć co jest piękne, a także wiemy, że to pojęcie zmieniało się w czasie. Moja praca również polega na szukaniu odpowiedzi. Architektura wnętrz powstaje przez kojarzenie, zespolenie problemów artystycznych z technicznymi (w szerokim zresztą zakresie), powstaje w ścisłym związku z tym co nazywamy współczesnością. Nowe materiały, nowe technologie — nowe możliwości. Ale przede wszystkim nowe treści".

Sztuka Cuchra-Cukrowskiego manifestuje swoje anonimowe istnienie protestem, ale jednocześnie potrzebą poznania zaangażowania społecznego. W Łodzi zostały położone podwaliny plastyki użytkowej — to czyn Strzemińskiego — on odkrył nam kategorie sztuki użytkowej. Ujawnił rodzaj wrażeń jakie budzą w nas przedmioty, znaki, pismo, gdy oglądamy je i mierzymy wartość estetyczną.

Cuchra-Cukrowski położył nacisk na badanie myśli Strzemińskiego, czerpie z nich inspiracje, niezależnie od tego, jakie zastrzeżenia można by wysunąć pod ich adresem. Ukazał to tym lepiej, że jego punktem wyjścia była ambicja określenia raz na zawsze specjalizacji plastyka i architekta. w ich zasięgu uniwersalnym. Dążąc do uchwycenia sensu ich pracy, niestrudzenie projektuje: *„Chciałbym tylko podkreślić, że realizacje projektów wnętrz mają to do siebie, że najmniejszy błąd projektanta, czy wykonawcy powoduje fatalne reperkusje. Zniekształca zaprogramowaną ideę. Przecież we wnętrzach bądź to mieszkalnych, bądź użyteczności publicznej spędzamy połowę życia. Dosłownie. Stąd duża waga zagadnienia, albowiem to co nas otacza — oddziaływuje na nas, na naszą psychikę, kształtuje, i w pewnym, ale istotnym sensie określa"*. Projektuje wystawiennictwo, które rozrasta się i pogłębia w miarę jak doświadczenie staje się coraz bardziej pojemne.

ZOFIA LIBISZOWSKA

W naszej ojczyźnie

POD lakonicznym tytułem kryją się tysiącletnie dzieje naszego narodu, popularna malownicza opowieść o naszej przeszłości. Książkę opracowały dwie autorki znane już czytelnikom z udanych popularyzacji z zakresu historii i historii sztuki. Zewnętrznie książka prezentuje się okazale. Nęci wysokiej klasy papierem, doskonałym graficznym opracowaniem i niezliczoną ilością udanych ilustracji, niektóre z nich wypełniają całą stronę lub jej część. Portrety i graviury zdobią szerokie marginesy, tego estetycznego acz nietypowego formatu. Staranność edycji i jej elegancja zachęca do sięgnięcia po tę pozycję. Mimo bogactwa ilustracji nie jest to jednak album historyczny. Dominuje narracja i przyznać trzeba, że wychodzi ona spod wytrawnego pióra; płynie potoczyście, barwnie. Urzeka czytelnika malarskość opisu i jego obrazowość. Jest to więc książka do czytania a nie tylko do oglądania. Przyjrzyjmy się jej treści. Zawarta jest ona w 85 krótkich rozdziałach. Rzec można w 85 obrazach historycznych. Takie bowiem wrażenie robi ich lektura. Zakres ich ambitny, od pradziejów do Polski Ludowej. Autorki zrezygnowały z wszelkich periodyzacyjnych konstrukcji, nie wprowadziły informacji naukowej ani wskazówek bibliograficznych. Książce nadały charakter popularnej opowieści ujętej jednolicie w cyklu opowiadań. Autorki wykład swój oparły na literaturze monograficznej i jak wynika z treści — uwzględniły najnowsze jej osiągnięcia. Dużą zaletą książki jest szerokie wprowadzenie dziejów kultury artystycznej i jej zabytków, rozsianych po całym naszym kraju.

Książka ta jednak nie zastąpi podręcznika i nie zaspokoi aspiracji intelektualnych ludzi o pełnym wykształceniu średnim. Profesjonalni historycy znajdą w niej niejedno opuszczenie, uproszczenie, omyłkę. Książka tego typu nie może być od nich wolna. Sama selekcja faktografii nasuwa już wiele decyzji i kontrowersyjnych rozwiązań. Ileż zaś w naszych dziejach jest kart tragicznych, bolesnych, ileż wokół nich sporów i odmiennych poglądów, ileż do dziś niezamkniętych dyskusji. Autorki uniknęły spraw spornych i wątpliwych. W kwestiach wątpliwych szły za zdaniem wybranego autora, przyjmując hipotezy za pewniki (Dowiat, Kuczyński, Tymieniecki). Wyłuskały na plan pierwszy postacie, które darzą sympatią i oddają im przewodnictwo w narodzie. Do kogo książka jest adresowana? Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza trafia do rozległego kręgu odbiorców. Przede wszystkim pragnie zaspokoić potrzeby środowisk wiejskich. Książka ta winna znaleźć się w bibliotekach i świetlicach zakładowych i gromadzkich, przede wszystkim jednak trafić winna do odbiorcy indywidualnego. Może być bowiem pełną atrakcji lekturą dla tych, którym nie było dane uczyć się systematycznie dziejów ojczystych, którzy utrudzeni codzienną pracą sięgnąć chcą po książkę pouczającą i zrozumiałą.

A. Klubówna, J. Stępniowa, „W NASZEJ OJCZYŹNIE". Warszawa, 1971.

tona. Wieczorem jestem u Edith Piaf. Ale nocą wałęsam się od knajpy do knajpy na Montmartre i upijam się gruntownie. Przy końcu nocy, w najgłębszym oszołomieniu oznajmiam: „Człowiek, który nie zna siebie, nie potrafi nigdy niczego dokonać... Same zdolności nie znaczą wiele. Co trzeba wykorzystać — to własne braki".

Wracam, chwiejąc się na nogach, do Edith i rzucam się na swoje łóżko. Czuję się pełen energii jak beczka prochu. Moje nogi są ciężkie, moje ruchy niezdarne, ale moja głowa rozmyśla nad tym, co powiedziałem. Odradzam się w głębi mej duszy. Wstaję ostrożnie i osuwam się przy moim biurku. I piszę następujące zdania, które od tamtej chwili zawsze przechowuję w pamięci: „Jakie masz braki? Mój głos, mój wzrost, moje ruchy, moje niedostatki w zakresie kultury i wykształcenia, moja bezpośrednia szczerość, braki mojej postaci".

I piszę dalej po pijanemu: „Mój głos: nie da się go zmienić. Wyrok profesorów, których niegdyś prosiłem o radę, był absolutnie jednomyślny i jasny. Odradzali mi śpiew. Będę jednak śpiewał aż do zerwania strun głosowych. Skala mego głosu, mimo mgiełki jaka tłumi jego dźwięczność, pozwalałaby mi na zostanie klasycznym śpiewakiem operowym. Mój wzrost: 1,64 m pozostanie 1,64. Tu nic się nie da zmienić. Nie jestem z gumy... Jedyne rozwiązanie to akceptować mój wzrost i sprawić, by inni o nim nie pamiętali. Moje ruchy: są typowe dla małego człowieka. Krótkie, szybkie, urywane. Muszę poruszać rękami bardziej płynnie i wolniej. Będę schylał głowę przechodząc przez drzwi o wysokości 1,70 m, tak jak to robią wysocy. W ten sposób uwolnię się od kompleksu, który może mi przynieść tyle złego. Moje skromne wykształcenie: z wielkim trudem przebyłem dziewięć lat obowiązkowej nauki szkolnej. Sam nie uczę się niczego. Brak mi na to energii. Uczę się tylko wtedy, gdy przysłuchuję się innym. Moja szczerość: w tym względzie jestem niepoprawny. Nadal będę głośno krzyczał, jeśli ujrzę niesprawiedliwość i każdemu, kto na to zasłuży, powiem, że jest gównem, jeśli będę miał na to ochotę. Braki mojej postaci: aby mimo mego niskiego wzrostu zwracano na mnie uwagę, ubieram się bardzo ekscentrycznie. Zauważają mnie wtedy, ale śmieją się ze mnie".

* ☆ *

Zawsze lubiłem specyficzny smak pustoszącej wszystko miłości, burz, które przeciągają i pozostawiają po sobie jedynie ruiny, smak nieokreślonego szczęścia z gwałtownymi sztormami, które w końcu wszystko niszczą — wyrażony w słowach, utrwalony wreszcie w rowkach gramofonowej płyty.

Fascynują mnie osobiste wynurzenia przed publicznością — moim jedynym sędzią i jedynym spowiednikiem.

Nigdy nie przeżyłem cichej miłości bez zdrad, krzyków, gróźb i pojednań.

Wbrew temu, co mogłoby się na pozór wydawać, nie napisałem nigdy autobiograficznej piosenki w momencie, gdy byłem nieszczęśliwy, zdruzgotany, kiedy przeżywałem tragedię. Pisywałem o moich cierpieniach, moich troskach i rozczarowaniach dopiero wtedy, gdy znowu odzyskiwałem równowagę i w zupełnej harmonii ducha przeżywałem nową miłość. Piosenka uwalniała mnie od bólu, jaki w mym sercu pozostawiało nieszczęście. Potem świat uśmiechał się do mnie, lecz wkrótce znów chmurzyło się niebo.

Dlatego też wszyscy, którzy mnie znali i kochali, byli tak zdumieni, kiedy ożeniłem się z Ullą, która jest spokojna jak jezioro Północy i milcząca jak pokryty śniegiem szwedzki krajobraz. Jest jednak kobietą z charakterem i jest stanowcza, nawet uparta. Ale nie awanturuje się przy byle różnicy zdań. Żyjemy bardzo ściśle związani z sobą, a mimo to każde z nas ma swój mały świat, który jedynie do niego należy, i do którego drugie się nie wtrąca. Pod moim wpływem Ulla stała się nieco beztroska i nerwowa, ja zaś mniej porywczy.

* ☆ *

Byłoby błędem sądzić, że wszystko idzie mi jak z płatka i jest dla mnie proste. Dobrze poznałem zatrzaskiwanie mi drzwi przed nosem. Znam ludzi, którzy potrafią innych ignorować, albo obrażać, maskując to żartami w publicznych wystąpieniach. Znam ich ironiczne, albo pobłażliwe uśmiechy i odezwania się: „Ach, nie ma sensu o to się spierać" — „Nie mamy nic dla pana" — „Niech pan zostawi swój adres, napiszemy do pana", albo: „Nie możemy tracić czasu dla każdego artysty, który tu przychodzi".

Jak wielu, tłumiłem gniew, przełykałem łzy, chyliłem głowę. Podobnie jak inni rozumiałem, że lepiej jest milczeć. Ale przecież, jak i wielu innych, ulegałem nieraz wybuchowi mojej wściekłości i chwytałem za oręż, który zawsze obracał się przeciwko mnie: odwet.

Zwątpienie, zniechęcenie, poczucie, że się jest nierozumianym i że nie ma się szczęścia, opanowywały mnie częściej niż się do tego przyznawałem. Zamykałem się w sobie i na przekór swojej słabości stawałem się silnym. W ten sposób się broniłem.

Poznałem cierpienia głodu, pragnienia, zimna, przesytu, wstrętu. Ale po cóż mam wspominać te wszystkie przeciwności losu, które towarzyszą narodzinom śpiewaka?

Nie jestem ani męczennikiem, ani świętym. Często odpłacałem pięknym za nadobne, ponieważ jestem tylko zwykłym człowiekiem.

Oszukiwałem innych i samego siebie i bywałem oszukiwany. Takie jest życie.

Tłum. J. SK.

IRENA LAZARI

KONSUMENCI

Fot. E. Buschmann

„Co znaczy, muszą mi dać" — oto zdanie, które nagminnie wypowiadają tonem oburzonym wychowankowie a także i byli wychowankowie państwowych domów dziecka. Skoro od wczesnego dzieciństwa przyzwyczaili się do brania bez obowiązku dawania z siebie czegokolwiek — nie potrafią po opuszczeniu zakładu wychowawczego przestawić swej psychiki na inne tory. Są głęboko oburzeni na poszczególne jednostki władz lub napotkane w codziennym życiu osoby, że nie chcą im dawać wszystkiego, czego oni, przynajmniej w pierwszym okresie po opuszczeniu zakładu, żądają, a bynajmniej o to grzecznie nie proszą, bo proszenie jest niżej ich godności. Przecież im się wszystko należy! Do takiego przekonania doszli na skutek obecnego systemu wychowawczego w naszych domach dziecka.

— Obsługiwane od rana do wieczora, dzieci te — szczególnie jeżeli w zakładach wychowywały się od urodzenia lub wczesnego dzieciństwa — jakże często po usamodzielnieniu ich nie potrafią sobie same nawet chleba ukroić, nie mówiąc już o innych czynnościach codziennego życia, do których dzieci w rodzinach wdrażane są od maleńkości, jeżeli nawet nie zawsze przez samodzielne wykonywanie, to przynajmniej przez przyglądanie się.

Od szeregu lat zajmuję się jako tzw. rodzina zaprzyjaźniona wychowankami domów dziecka. Najpierw był tylko Rysio, później on przyprowadził kilku swoich kolegów. Nazywają mnie ciocią i traktują mój dom przypuszczalnie jako namiastkę rodzinnego.

Tak trafił do mnie obecnie 18-letni Zbyszek. Wystarałam mu się o rentę po zmarłych rodzicach, umieściłam zgodnie z jego zainteresowaniami w liceum ogólnokształcącym i zabrałam go z zakładu wychowawczego do siebie. I cóż z tego wynikło? Zbyszek do szkoły chodzi chętnie i uczy się dobrze — w przeciwieństwie do szkół zawodowych, do których był kierowany przez dom dziecka wbrew jego woli i zainteresowaniom. Ale w domu moim żądał obsługi, do jakiej przywykł w domu dziecka. „A cóż to ja jestem od noszenia?!" „A cóż to ja jestem od pastowania podłogi, czy prania?!" Nic nie pomogły tłumaczenia, że w domu rodzinnym nie ma sprzątaczek, praczek, kucharek, intendentek — całego sztabu obsługi, tylko cały ciężar prowadzenia domu spada na moją osobę, w dodatku inwalidkę, dlatego w tych cięższych czynnościach konieczne trzeba mi pomóc. Podczas każdego prania czy sprzątania mój Zbyszek uciekał w chorobę. Nic nie chciał robić. No i w końcu opuścił mój dom, choć nadal mnie odwiedza — jak dawniej.

Matka Madzi, była wychowanką domu dziecka, uważa, że państwo musi chować jej dzieci — dodajmy: niewiadomych ojców, bo ona jest nerwowo chora, obecnie jest z siódmym w ciąży a sześcioro wychowują domy dziecka.

19-letni Stefan — wychowany przez państwowe domy dziecka i zakłady wychowawczych, z zawodu ślusarza którego dozoruję jako kurator sądowy, twierdzi: „Co to ja głupi, żebym miał pracować". Razem z nim pasożytują jego trzej koledzy, absolwenci tych samych państwowych zakładów wychowawczych, z zawodu ślusarze. A czy zakłady te wychowały w nich nawyk do pracy? Niestety nie! Wykolejają się. Trafiają do sądu. My ich karzemy. I słusznie. Ale zastanówmy się: czyż nie karzemy ofiar naszych błędów wychowawczych, błędnej struktury domów dziecka?

Nasze domy dziecka nie przygotowują swoich wychowanków do życia, dlatego to nie dzieci wina, że nie potrafią żyć w społeczeństwie po opuszczeniu zakładu. Oto jeszcze jeden przykład. Kiedy obecnie już usynowionego przeze mnie Mietka, którego domy dziecka wychowały od jego pierwszych tygodni życia, wkrótce po opuszczeniu przez niego zakładu wychowawczego wysłałam do apteki po plaster dla niego — wrócił skrajnie zdenerwowany z niczym, bo on — urodzony i wychowany w Polsce Ludowej — nie wiedział, że z paragonem należy podejść do kasy. Więc kiedy nie przyjęto od niego pieniędzy przy okienku, speszył się tak bardzo, że stracił zdolność zaobserwowania, jak to robią inni. Nie wiedział, ile kosztuje chleb i inne artykuły codziennego użytku. Otrzymawszy pierwszą wypłatę pofolgował swemu zamiłowaniu i w dwóch księgarniach kupił książki. Był przekonany, że płaci pięćdziesięciozłotówkami, a zapłacił dwoma 500-złotowymi banknotami. W obu księgarniach nie wydano mu reszty. A on przecież nigdy w życiu nie miał pieniędzy w ręku. Teraz pracuje i uczy się. Stał się moim kochanym synem. Ale stało się tak dlatego, że jest to chłopak, na którego mogłam jeszcze wpłynąć. Ponadto pochodzi z normalnej, pracowitej chłopskiej rodziny. W innym przypadku niechybnie by się wykoleił.

Nie mówmy, że to zbyt małe zagadnienie w skali innych potrzeb kraju. W domach dziecka wychowują się tysiące proletariackich dzieci. Nauczmy ich żyć. A żyć — to przecież znaczy pracować — być pożytecznym członkiem społeczeństwa. Przestańmy wychowywać nieszczęśliwe kaleki życiowe.

TELEOBIEKTYW

HIOB ANNO 1921

Wznawiam pisanie po urlopowej przerwie u schyłku sezonu ogórkowego. W okresie letnim program telewizyjny skłania się ku pozycjom lżejszym, rozrywkowym. Teatr TV wystawia wtedy najchętniej komedie. Tej polityce repertuarowej przypisać należy jedną z ostatnich premier — „Księgę Hioba" Brunona Winawera. (Telewizja Warszawa, 30. 8. 71 reżyseria — Jerzy Kreczmar, reż. TV — Anna Minkiewicz).

Spikerka zapowiadająca to widowisko wyraziła nadzieję że ta napisana i wystawiona po raz pierwszy w 1921 roku komedia może zainteresować także i współczesnego widza. Można się było doszukać w tej wypowiedzi akcentów tłumaczących jakby redakcję i wyjaśniających kryteria wyboru.

Sprawozdawca „Życia Warszawy" (1. 9. br.) łatwo rozgrzeszył programowców telewizyjnych w słowach: „Chwała TV za to, że pokazała nam inteligentną, dowcipną i wcale, jak na dzisiejsze czasy, młodą komedię Bruno Winawera..."

Muszę powiedzieć, że mam wiele wątpliwości, czy przyznać koledze po piórze rację.

Nie przeczę — wyjaśnijmy to szybko — komedia napisana jest inteligentnie i dowcipnie. I owszem! Bruno Winawer (1883—1944), pisarz, satyryk, a także niedoścignięty popularyzator fizyki i techniki, z pewnością na te pochwały zasługuje. Wątpliwości budzi jednak drugi człon pochwały. Nie wydaje mi się, by komedia „Księga Hioba" wytrzymała pięćdziesięcioletnią próbę czasu.

Nie znaczy to, że tekst Winawera brzmi szczególnie archaicznie. Spatynowała się i wybladła problematyka, która komedię tę zrodziła. Perypetie bohaterów tkwią tak głęboko w aktualiach sprzed pięćdziesięciu lat, że aż nas w gruncie rzeczy nie śmieszą. Relacja zarobków divy kabaretowej i docenta fizyki bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej to sprawa, która dziś ani parzy ani ziębi.

Na uwiąd starczy „Księgi Hioba" nie znaleziono chyba lekarstwa. Nie pomogła kuracja odmładzająca dokonana na tekście przez reżysera-adaptatora. Nie pomogły rzetelne wysiłki zespołu aktorskiego.

Nie mam, niestety, pod ręką pełnego tekstu komedii, trudno mi więc ocenić adaptację. Wydaje mi się jednak, że nadmiernym skrótom uległ wątek Klotza, poety-futurysty, awansującego z aktu na akt sztuki od komisarza granatowej policji, aż do prokuratora. Czy ów karierowicz, wykupujący z księgarń tomik własnych awangardowych wierszy w obawie, by nie przeszkodził mu w pięciu się wzwyż po szczeblach drabiny służbowej, nie ma w sobie zadatków na ponadczasową, uniwersalną kpinę? Ale postać ta, mimo soczystej interpretacji Mieczysława (Zagłoby) Pawlikowskiego, stanowiła w przedstawieniu nierozwinięty epizod.

Chyba i sylwetka superszulera Macierzana (Czesław Wołłejko), który kusi głównego bohatera komedii docenta Herupa (Zbigniew Zapasiewicz) niczym Mefisto doktora Fausta, straciła wskutek skrótów wiele ze swej barwności. Haliny Mikołajskiej, aktorki o warsztacie tak kunsztownym, aż szkoda było dla niej takiej ról ki żony Herupa.

Dzięki aktorom głównie wieczór przed telewizorem trudno uznać za stracony. Odnosiłem jednak wrażenie, że galwanizowanie „Księgi Hioba" było marnotrawieniem talentu i kredytu, jakim wymienieni wyżej artyści cieszą się niezmiennie u publiczności.

Jeszcze raz chciałbym się przy tym zastrzec, że bynajmniej nie chcę podważać talentu Brunona Winawera. Z pewnością komedia jego była na swoje czasy bombą. Bawiła jako celna i aktualna satyra. Cóż, kiedy aktualność wyparowała do cna! Satyra na stosunki po pierwszej wojnie światowej nie wypełni zapotrzebowania na aktualną satyrę. A tego, nienajłatwiejszego z pewnością, rodzaju twórczości w programie telewizyjnym wciąż na lekarstwo!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Niemal każda kolejna rocznica Września przynosi premiery filmów, które są powrotem pamięci, chwilą zadumy, próbą analizy czy oceny tragicznych dni 1939 roku. Tegoroczne wrześniowe pokazy są tu znamienne: powraca na ekrany świetny dokument M. Sieńskiego „Spojrzenie na Wrzesień", znakomicie ongi przyjęty film T. Różewicza „Westerplatte" przeżywa w tym roku swą nową premierę w 70 mm i stereofonicznej wersji i wreszcie debiutuje na ekranach film Andrzeja Mularczyka i Mieczysława Waśkowskiego „JESZCZE SŁYCHAĆ ŚPIEW i RŻENIE KONI". Oceny dwu pierwszych filmów są już sprawą poprzednich lat, dziś do nich tylko powracamy, film Mularczyka i Waśkowskiego wzbudzi zapewne dyskusje znamienne i burzliwe zawsze, gdy powraca się do historii, która tylko historią jeszcze nie jest i być nią nie może dopóty, dopóki żyją uczestnicy tamtych zdarzeń, dopóki ich dzieci chcą zrozumieć obraz i sens ich czynów. Taka też jest teza filmu „Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni". W jego ocenie musi iść w parze znajomość źródeł i okoliczności powstania filmu wraz ze spojrzeniem na artystyczną realizację tematu. Film ten jest bowiem właściwie czwartą wersją opowieści, której źródeł szukać należy w wydarzeniu autentycznym, nie wymyślonym przy biurku pisarza.

Ojciec Andrzeja Mularczyka, publicysty, autora scenariusza omawianego filmu, pułkownik Józef Mularczyk, były dowódca 2 pułku strzelców konnych Wołyńskiej Brygady Kawalerii, po 27 latach dowiedział się, iż w dniach Września nie dotarł do niego rozkaz przyznania Virtuti Militari dziewięciu żołnierzom z grupy czterdziestu, którzy pod jego dowództwem w dniu 3 września 1939 roku zniszczyli pod Mokrą i Kamieńskiem 62 niemieckie czołgi i wozy pancerne. Sprawa ta i próba odszukania po latach ludzi, którym owo odznaczenie przyznać należałoby, stała się tematem znakomitego reportażu Andrzeja Mularczyka „10 krzyży dla seledynowo-amarantowych" (tom „Co się komu śni"). Słuchowisko radiowe „Virtuti Militari" oraz telewizyjny spektakl „Dodatek do rozkazu" to kolejne wersje nie tyle chyba reportażu Mularczyka, ile zdarzeń i spraw, które stały przed nim. Nie było mi dane słyszeć i widzieć radiowej i telewizyjnej wersji historii bohaterów spod Mokrej i Kamieńska, pozostał reportaż, a dziś film w reżyserii M. Waśkowskiego.

A. Mularczyk tak wspomina swoje poszukiwania ludzi, na których krzyż Virtuti Militari czekał 27 lat: „Wojna siadła mi na grzbiet okrakiem: zamieniłem się w oficera łącznikowego, w adiutanta dowódcy nieistniejącego pułku. Mnożą się pytania: czy po tylu latach nie popełni się błędu w wyborze? Szukając odpowiedzi i bohaterów przebywałem tysiące kilometrów, przeczytałem setki wzruszających listów, które zmusiły mnie do zweryfikowania sądu o sile trwania wojny... Ta właśnie dokumentacja była dla mnie największą lekcją Polski współczesnej". Te doświadczenia i odczucia autora reportażu stały się też zasadniczą kanwą pomysłu scenariuszowego. Widzowie filmu „Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni" znający autentyczne zaplecze filmowego scenariusza doświadczać jednak muszą uczuć niezwykle mieszanych. Realizatorzy filmu stali przed wielką szansą sukcesu, składała się na nią niezwykła fabuła, którą napisało samo życie, próba zrekonstruowania zdarzeń autentycznych i przywołania ludzkiej pamięci, konfrontacja przeszłości i współczesności, spotkanie dwu pokoleń, krąg znakomitych postaci i typów ludzkich, poszukiwanie odpowiedzi na pytania, co po latach nagradzać należy — bohaterstwo, niezaprzeczalne we wrześniu 1939 roku, czy to, na które może rzutować czas 27 lat, czyli życie ludzkie, które po tym bohaterstwie przecież trwało, działo się.

Co z tej szansy sprawdziło się w filmie Waśkowskiego? — oczywiście temat i bohaterowie, ale tylko ci z pokolenia ojców, a także pytania, zawarte w scenariuszu, na które odpowiedź należy do widzów. Zastrzeżenia generalne, bo obniżające wartość filmu, a więc artystycznego przetworzenia tematu, odnosić się muszą do nieudolności fabularnej dramaturgii, która jest grzechem głównym filmu „Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni". Obciążyć nim niestety musimy reżysera. Źródeł nie przekonywającego rysunku młodych bohaterów filmu, dziennikarza i jego dziewczyny szukać trzeba zarówno w literackiej, scenariuszowej wersji filmu jak i w rysunku aktorskim, i rozwiązaniach sytuacyjnych, reżyserskich. Dialogi w tym filmie brzmią zbyt literacko. Zabrakło również określonej koncepcji reżyserskiej i operatorskiej w obrazowej, plastycznej warstwie filmu, przy pełnym uznaniu dla pracy operatora, Sławomira Idziaka, zwłaszcza w barwnym wątku wrześniowych wspomnień bohaterów filmu. Wątek współczesny, rozbity został na epizody, w których różnorodność konwencji zdjęciowych i stylistyki niczym się nie tłumaczy. Kogo o to winić, mniemam, że jednak nie operatora filmu. Musi film „Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni" budzić żal. Znakomity temat, bo przecież nawet już nie pomysł, nie znalazł swej pełnej, artystycznej szansy. To nie kino uprościło temat, kino jest, po prostu, bardzo wymagające, mimo iż życiu podobne, żąda swych artystycznych praw.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

ABE KOBO — „TWARZ INNEGO"

Abe Kobo, pisarz japoński, autor szeregu powieści i opowiadań, zwany japońskim Kafką, znany jest u nas jako autor książki pt. „Kobieta z wydm", a jeszcze bardziej

Abe Kobo, któremu „Kobieta z wydm" przyniosła sławę

z wersji filmowej pod tym samym tytułem. Film uzyskał na festiwalu w Cannes w r. 1964 nagrodę specjalną, a „Kobieta z wydm" przyniosła jej autorowi światowy rozgłos.

W książce pt. „Twarz innego" (tłumaczenie pt. „Das Gesicht des anderen" ukazało się w jednym z zachodnioniemieckich wydawnictw) Kobo przedstawia tragedię człowieka, który w znaczeniu dosłownym stracił swoją twarz. Bohaterem powieści jest bowiem specjalista od tworzyw sztucznych ciężko poparzony w laboratorium na skutek eksplozji. Jego twarz, według wyrażenia narratora i bohatera w jednej osobie, zamieniła się w „gniazdo pijawek". Jest to oczywiście dla niego straszne przeżycie. Bohater powieści nie załamuje się jednak, lecz sprawia sobie idealną maskę z tworzywa sztucznego. Żyje teraz z twarzą kogoś innego. Przychodzi mu do głowy szalony pomysł, dzięki któremu chce zdobyć miłość swej żony jako ktoś inny. I oto powstaje dziwaczny trójkąt „w którym jeden z partnerów gra podwójną rolę". Bohater powieści z twarzą kogoś innego zyskuje sukces — zdobywa miłość swej żony i to pogrąża go w splot najrozmaitszych cierpień psychicznych. Czy potrzebnych? Bo oto z listu od żony dowiaduje się, że mimo noszonej przez niego maski, żona cały czas doskonale wiedziała, że uwodzi ją nie kto inny, ale jej własny mąż. Powieść zawiera podobno szereg trafnych obserwacji psychologicznych, filozoficznych sentencji i interesujących refleksji.

INTERESUJĄCE ODKRYCIE ARCHEOLOGICZNE

Na bezludnym obszarze południowo - wschodniego Iranu, archeologowie zainteresowali się ostatnio ruinami miasta z epoki brązu. Miejscowość ta była w czasach przedhistorycznych ważnym centrum handlowym. Ludy, które sześć tysięcy lat temu wytworzyły wysoką, jak na

Tabliczki z pismem klinowym znalezione w Tepe Yahya

ówczesne czasy, cywilizację między Tygrysem i Eufratem — w Mezopotamii, wznosiły swe miasta na gruncie skąpym w bogactwa mineralne. Toteż przedmioty luksusu sprowadzano z daleka. Uczeni odczytali z sumeryjskich tabliczek z pismem klinowym nazwy owych miast skąd płynęły towary do Mezopotamii. Były to: Dilmun, Meluhha i Magan. Dwa z nich udało się zlokalizować. Dilmun to dzisiejsza grupa wysp Bahrejn w Zatoce Perskiej, Meluhha — jak przypuszcza większość archeologów — leżała w dorzeczu Indusa. A Magan? Długo nie można było zidentyfikować tej miejscowości. Dopiero ostatnio prowadzone badania archeologiczne w Tepe Yahya w południowo-wschodnim Iranie zdają się odsłaniać nareszcie tę tajemnicę.

Wydaje się, że ów prehistoryczny Magan to właśnie ruiny Tepe Yahya. Miasto od 17 wieków całkowicie opuszczone, dziś przedstawiające jedynie szczątki ruin. Amerykańsko-irańska ekspedycja archeologiczna odkryła warstwy pochodzące sprzed 3.500 lat przed n.e. Znaleziono gliniane tabliczki z napisami i stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że Tepe Yahya jakkolwiek położone z dala od Suzy, stolicy Elamu, było miastem elamickim. Dotąd uczeni sądzili, że królestwo Elamu miało niewielki tylko obszar wokół swej stolicy, Suzy.

Wyroby z metali i minerałów znalezione przez ekspedycję wskazują na to, że kupcy eksportowali z Tepe Yahya ozdoby i kosztowności i że to oni być może poprzez Tepe Yahya, przenieśli mezopotamskie umiejętności budownictwa znad Eufratu i Tygrysu nad Indus.

Do najważniejszych artykułów eksportowanych z Tepe Yahya należały przede wszystkim wyroby z miękkiego minerału, słonińca (wenecka kreda) — perełki, guziki, figurki, pieczęcie. Archeologowie odnaleźli ponad tysiąc odłamków i różnych szczątków wyrobów ze słonińca. Podobne wytwory z tego minerału znajdowano już przed tym zarówno nad Eufratem i Tygrysem jak i Indusem. Archeologowie doszli do wniosku, że tu właśnie w Tepe Yahya znajdowało się w epoce brązu centrum obróbki słonińca.

W dolnych warstwach badanego miasta znaleziono wyroby z obsydianu (czarne lub szare szkliwo wulkaniczne), brąz, perełki wyrabiane z kości słoniowej, figurki z alabastru i marmuru oraz odłamki perłowej macicy — a więc najprzeróżniejsze wytwory z materiałów, które nigdy nie znajdowały się w okolicach Tepe Yahya.

Nadal jeszcze pozostają niezbadane części ruin i warstw w Tepe Yahya. Ale na podstawie przeprowadzonych wykopalisk jedno jest pewne — Tepe Yahya, będące niegdyś miastem elamickim było punktem przecięcia się i styku dwóch cywilizacji tej znad Tygrysu i Eufratu oraz znad Indusa, i że miasto to, od kilkunastu wieków opustoszałe i znajdujące się dziś w stanie ruin, było najważniejszą stacją na transazjatyckiej trasie handlowej.

PO FESTIWALU W AWINIONIE

Tegoroczny festiwal w Awinionie cieszył się dużym sukcesem. Ogółem wszystkie spektakle i imprezy zgromadziły 125 tysięcy widzów. Największą frekwencję zanotowano podczas występów baletu Teatru Wielkiego z Moskwy i występów młodych choreografów Opery Paryskiej. Wielu widzów przyciągnęła sztuka Giraudoux pt. „Wojny trojańskiej nie będzie", grana przez zespół paryskiego Théâtre de la Ville. Dużym powodzeniem cieszyły się też sztuki wystawiane dla młodzieży i teatr występujący pod gołym niebem bez dekoracji i kostiumów.

NIEWIDOMY ŚPIEWAK

Każdego popołudnia w obecnym sezonie w Cannes zwracał uwagę młodzieniec o długich włosach z ciemnymi okularami na oczach, który z pasją uprawiał narciarstwo wodne. Co jednak było dziwne, że ten namiętny łyżwiarz wodny, wybuchający od czasu do czasu śmiechem radości, w niektórych momentach zdradzał dziwną nieporadność ruchów.

Tym młodym mężczyzną w ciemnych okularach jest Gilbert Montagné, niewidomy prawie od urodzenia, którego piosenka „The Fool" stała się rewelacją sezonu.

Gilbert Montagné urodził się na południu Francji w dniu 28 grudnia 1951 roku. Przyszedł na świat jako wcześniak i zachodziła obawa, że nie wyżyje. Natychmiast dostarczono najnowsze urządzenia amerykańskie. Uratowano życie dziecku, ale obsługujące aparat pielęgniarki nie umiały się z nim należycie obchodzić i nadmierna ilość tlenu zniszczyła dziecku oczy. Tak więc Gilbert Montagné został już na zawsze niewidomym. Mając lat pięć, uczęszczał do szkoły niewidomych w Sainte Mandé. Tam to uczył się gry na fortepianie. „Odkryłem fortepian — wspomina te chwile Gilbert Montagné — instrument, który w równej mierze może służyć niewidomym jak i widzącym". Muzyka wnosi w życie Gilberta radość. Zastępuje mu barwy, których nigdy nie widział. Niskie tony są dla niego jak ciemne kolory, tony wysokie, wyobraża sobie jak jasne barwy. Był smutny, teraz po zapoznaniu się z muzyką, staje się wesoły.

Później Montagné uczęszcza do normalnej szkoły, dla widzących. Gdy ma lat 15, jego siostra Klaudyna, nauczycielka francuskiego w Miami na Florydzie, zaprasza go do siebie na trzy miesiące. Gilbert wyjeżdża i zostaje w Ameryce przez pięć lat, w ciągu których interesuje się żywo muzyką, piosenkami i pieśniami amerykańskimi, a następnie kończy studia muzyczne, kształcąc się w grze na fortepianie, organach i harmonii.

Zaczyna występować publicznie śpiewając piosenki. Salvatore Adamo namawia go na powrót do Francji. Gilbert wraca. Piosenka skomponowana przez niego pt. „The Fool" robi prawdziwą karierę. Zostaje nagrana w Londynie. Płyty rozchodzą się bardzo szybko w ilości 300 tysięcy egzemplarzy.

Niewidomy śpiewak Gilbert Montagne

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

ZDECHŁA ŻABA

MYŚLAŁEM ŻE TO PLOTKA — NA CO LICZYŁ BRYCHT? — STORY W „DER SPIEGLU" — ODRZUCONE OFERTY — PONURY DOWCIP — NIE CHCIAŁ CHWILĘ POMYŚLEĆ — OCZEKUJE NA JAKĄKOLWIEK PRACĘ

Wieść o tym, że Andrzej Brycht poprosił o azyl polityczny w Belgii uznałem zrazu za plotkę. Nie mogłem w to uwierzyć nie dlatego, że uważałem Brychta za człowieka o szczególnie mocnych zasadach moralnych. Ale nigdy nie uważałem go za głupca.

Pisarstwa Brychta nie można oddzielić od polityki — w tym też charakterze pisarza politycznego był on przez czas jakiś niezwykle hołubiony. Ale dokonajmy tego zabiegu. Oddzielmy moralność polityczną i patriotyzm od pisarstwa Brychta. Wówczas jego decyzja okaże się nie tyle decyzją naplucia w twarz sobie samemu, lecz okaże się piramidalną, naiwną głupotą.

Na co może liczyć na Zachodzie pisarz taki jak Brycht?

Odpowiedź przyszła szybko. Zachodnioniemiecki „Der Spiegel" (nr 35 z 23 sierpnia 71 r.) opublikował niewielkie „Story" pt. „Tote Kröte". Przetłumaczyć można ten tytuł na „Zdechłą żabę". Tak przywitano zdradę Brychta w Niemieckiej Republice Federalnej. Czy Brycht mógł liczyć na co innego — nawet jeśli nic już dla niego nie znaczą jego własne słowa spisywane tu w Polsce?

Nikt w Polsce jak dotąd nie przypomniał Brychtowi prawd, które ujawnił zachodnioniemiecki tygodnik. Nikt mu tu nie wypominał, że w czasie pobytu w Wietnamie, gdzie miał zebrać materiał do książki o ruchu narodowo-wyzwoleńczym — uporczywie unikał wyjazdu w pobliże frontu całe swoje zainteresowanie kierując w stronę nocnych uciech tego świata. Pobyt władze wietnamskie uznały więc za zbyteczny i trzeba go było skrócić.

Przypomina „Der Spiegel" podobnie niefortunne przerwanie literackiego wojażu po NRD gdzie „doch Brycht erregte Skandale in Kneipen".

Nie muszę wcale wierzyć zachodnioniemieckiemu tygodnikowi. Załóżmy nawet, że słowa o tchórzostwie i awanturnictwie Brychta są zwykłą bzdurą. Załóżmy... Ale na co liczył Andrzej Brycht „wybierając wolność"?

Jego decyzja jest dowodem bezprzykładnej naiwności i głupoty. Nie można bezkarnie w świecie dorosłych zmieniać narodowości na tą, którą się uprzednio opluło. „Kiedy powiedziałem pierwsze słowa po niemiecku, poczułem jakbym rozgryzł zdechłą żabę" — tak pisał Brycht przed paru laty i jako pisarz miał nawet prawo do takiej zaciekłej nietolerancji i nienawiści. Ale teraz my nie mamy prawa mu wierzyć — i tamci za Łabą także nigdy nie uwierzą jego słowom. Dla nich jest zwykłą „zdechłą żabą", której można co najwyżej poświęcić niewielkie story na trzy szpalty — i zaraz odrzucić.

Andrzej Brycht — donosi „Der Spiegel" — zwrócił się z ofertami zatrudnienia do Radia „Wolna Europa" i Wydawnictwa „Kultura" w Paryżu. Dla wszystkich, którzy czytali „Raport z Monachium" zabrzmi to jak ponury dowcip. Ci, którzy czytali w maszynopisie jego sensacyjną powieść o działalności „Wolnej Europy" i zachodnioniemieckiego wywiadu — pękną ze śmiechu.

Kierownicy „Wolnej Europy" i paryskiej „Kultury" kompromitują się dość często, aby chcieli na dodatek kompromitować się Brychtem. Obie oferty Andrzeja Brychta zostały załatwione odmownie.

Na co liczył Brycht? Że stanie się inaczej? Że wybaczą mu Niemcy a emigranci przygarną? Gdyby Brycht przed podjęciem tej decyzji choć chwilę pomyślał! Nie zrobił tego — niestety — a piszę „niestety" bo był to pisarz o żywiołowym talencie i go po prostu szkoda. Dla mnie osobiście decyzja Andrzeja Brychta to przede wszystkim wyraz głupoty — zwykłej ludzkiej głupoty. A dopiero potem głupoty politycznej, zdrady kraju — tych wszystkich pryncypiów o których Brycht miał — jak się zdaje — dość mętne pojęcie.

W parę tygodni po podjęciu swej decyzji Andrzej Brycht pogardzany przez jednych, odrzucony przez drugich, odepchnięty z niechęcią przez „Wolną Europę" i paryską „Kulturę" — czeka pod opieką Uho-Kommissar do spraw emigrantów na podjęcie jakiejkolwiek pracy.

Nie wiem, jakim dziś próbuje mówić językiem, ale smak zdechłej żaby coraz bardziej wypełnia mu usta.

JERZY WIDOK

Półka z książkami

OPOWIEŚĆ Z CZASÓW RENESANSU

„Kamień filozoficzny" *), to trzecia przełożona na język polski powieść, urodzonej w 1903 r. w Brukseli, Marguerite Youcenar — pisarki, której twórczość krytyczna, przekładowa i beletrystyczna jest przykładem niezwykle szerokich zainteresowań i wnikliwych studiów. Poprzednio, nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, ukazały się jej powieści: „Pamiętniki Hadriana" i „Moneta snów". „Kamień filozoficzny" — powieść wydaną obecnie w serii Proza Współczesna — krytyka uznała za największe osiągnięcie pisarki, za które otrzymała nagrodę „Femina". Powieść, której akcja toczy się w pierwszej połowie XVI wieku, ukazuje dynamiczne przemiany społeczne, religijne i obyczajowe, jakie dokonały się w Renesansie.

Jako swoistą ciekawostkę można podać fakt, że od ukazania się szkicu tego, co miało potem stać się „Kamieniem filozoficznym", do ukończenia tekstu ostatecznego minęło 31 lat, a kreśląc dzieje Zenona, postaci fikcyjnej, autorka posłużyła się ogromnym materiałem historycznym, dotyczącym życia wielu najgłośniejszych uczonych i myślicieli Renesansu, a także wykorzystała mnóstwo wydarzeń i faktów, ba, nawet dialogów i rozmów, pochodzących z owej epoki i wplotła je w dzieje Zenona. Toteż same choćby wartości poznawcze „Kamienia filozoficznego" dają czytelnikowi sporo satysfakcji. Tym bardziej, że nie są to jedyne walory prozy Marguerite Youcenar.

B. M.

*) **Marguerite Youcenar „KAMIEŃ FILOZOFICZNY", PIW, str. 334, cena zł 25.**

OPOWIEŚCI ZDYSZANE

„Zebrałem w tym tomie — pisze Wiesław Górnicki — kilkanaście swoich reportaży pisanych w ciągu ostatnich piętnastu lat — w pośpiechu, w niezliczonej ilości wersji, drukowanych już w książkach i gazetach lub nigdy jeszcze nie publikowanych... Nie stronię w nich ani od patosu ani od żartu: chciałbym, aby ten osobisty i dosłowny sposób patrzenia na świat udzielił się czytelnikowi..."

Czytelnik książkę Górnickiego zaakceptuje natychmiast. Nie brak tu bowiem informacji rzetelnej, nie brak dziwności i egzotyki, nie brak przygody ani anegdoty... Zdarzenia o których pisze Górnicki są nieraz tak nieprawdopodobne, że trudno uwierzyć aby wymyślił je autor. Tylko życie może wymyśleć takie spiętrzenie i zawiłości.

„Opowieści zdyszane" są książką znakomitą i wcale się nie zdziwię jeśli niebawem „zaliczą" jakąś nagrodę. Na razie nagrodził je czytelnik — znikają z księgarń w tempie błyskawicznym.

J. W.

*) Wiesław Górnicki „OPOWIEŚCI ZDYSZANE" Iskry 1971

FLOYD WALLACE

NARKOTYK

Sytuacja była dość niezwykła dla Herba Doyle'a. Nigdy jeszcze nie był zaproszony przez rodziców dziewczyny z jego „paczki". A tej dziewczyny nie widział już od miesięcy i nie odczuwał jej braku. Z opowiadań dziewczyny wiedział, że posiadają dom i aptekę.

Celowo nie spieszył się na spotkanie, chciał ich upokorzyć. Zaparkował samochód w odległości kilku bloków i wszedł do apteki.

Jamison był mężczyzną około sześćdziesięcioletnim. — Czekam na pana już od godziny — rzekł. — Proszę wejść do pokoju, ja tymczasem zamknę sklep.

W pokoju siedziała przy stole niemłoda kobieta. Doyle ukłonił się i usiadł naprzeciw.

— Założyłbym się, że czekalibyście na mnie nawet do północy? — uśmiechnął się szyderczo.

— Chyba tak — mruknął Jamison.

— No dobrze. Lecz postawmy sprawę od razu jasno: nie byłem obowiązany przyjść tutaj i nie życzę sobie żadnych kawałów. Nic mi nie możecie zrobić. Znałem Shirley — i to wszystko.

— Wezwaliśmy pana, gdyż Shirley wyjdzie niedługo z kliniki.

— Kiedy dokładnie?

— O tym pomówimy później. Napije się pan kawy?

— Nie, dziękuję.

Jamison dał znak żonie. Otworzyła lodówkę i wyjęła metalowe pudełko, które położyła na stole przed gościem. Doyle otworzył je, wewnątrz była igła, strzykawka i buteleczka z proszkiem — typowy komplet dla narkomana.

— Znaleźliśmy to w pokoju Shirley, gdy odeszła. Wysterylizowaliśmy wszystko dokładnie. A to jest heroina, nabyliśmy chemicznie czystą. Proszę się nie krępować!

Doyle przyglądał się zdumiony. Oni oczekiwali, że wstrzyknie sobie heroinę, nie wiedzieli, że on, sprzedając narkotyki sam ich nie używa. Głupcy! A więc dobrze, zabawi się nimi, da im widowisko!

Zdjął marynarkę, zawinął rękaw, potem przygotował sobie zastrzyk heroiny z wodą, którą przyniosła staruszka.

Udawał lęk, zamknął oczy... Widzą teraz napewno Shirley, ukochaną córkę... Po nakłuciu ramienia otworzył oczy i wsunął buteleczkę do kieszeni. Zarobi jeszcze na tym!

— Wspaniale — rzekł — właśnie to mi było potrzebne.

Zauważył, iż aptekarz siedzi w fotelu odsunięty od stołu. Wolałby ich mieć oboje na oku. Lecz to nie było ważne, miał ich przecież w ręku. Shirley należała do niego, wiedzieli o tym.

— Nie byliśmy rodzicami przezornymi — zaczął Jamison.

— A ja myślę, że zachowaliście się bardzo mądrze — zaprzeczył Doyle. — Udało wam się zamknąć córkę w klinice i uniknąć skandalu. Mimo oskarżenia o używanie narkotyków nie poszła do więzienia.

— Pomógł mi pewien sędzia, mój kolega szkolny. Ale nie udało się nam niestety, udowodnić pana winy.

— O, wielu już próbowało obarczyć mnie odpowiedzialnością, lecz bez skutku.

— Istotnie. Lecz gdyby Shirley chciała zeznawać, skazaliby pana tym razem.

— Nigdy nie powie nic przeciwko mnie — stwierdził Doyle.

— Wiemy o tym i dlatego ściągnęliśmy pana tutaj. Chcemy ją od pana odsunąć. Wyjdzie z kliniki wyleczona, lecz pan znów zacznie ją namawiać do narkotyków.

Doyle uśmiechnął się. — Faktycznie, dziewczęta tracą dla mnie głowę. Jaka jest wasza oferta w gotówce?

— Właściwie nie myśleliśmy o pieniądzach, chcemy tylko prosić, żeby pan trzymał się z daleka od naszej córki.

— Zrobię, jak mi się spodoba. Gdy Shirley przyzwyczai się znów do narkotyków, będzie się starała o pieniądze w każdy sposób, jaki wskażę... Nie przyjdzie jej to z trudnością, gdyż podoba się mężczyznom. A teraz zamykam posiedzenie, muszę już iść. — To mówiąc włożył marynarkę i skierował się ku drzwiom. Chwycił za klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły. Odwrócił się i spojrzał na Jamisona pytającym wzrokiem.

— Zapomniałem — tłumaczył się aptekarz — zamykam sklep wieczorem na klucz. — Wstał, włożył rękę pod poduszkę fotela i wyciągnął rewolwer.

— Po co tu przychodziłem — myślał Doyle, usiłując opanować ogarniający go lęk... Przyjął niedbałą postawę. — Dobrze, jeżeli zostanę zabity, pójdzie pan do więzienia i kto będzie się opiekował córką?

— Może nawet nie będzie żadnego oskarżenia — odpowiedział Jamison. — Liczę na zastrzyk, który pan sobie zrobił, co wykaże sekcja zwłok. Jestem szanowanym obywatelem i uwierzą mojej wersji, że pod wpływem narkotyku wtargnął pan do apteki, żeby nas obrabować... No i musiałem pana zabić. Poza tym wyceluję w kieszonkę, do której pan schował buteleczkę heroiny. Roztrzaskam ją, w ciele zostaną resztki szkła i heroiny, sekcja zwłok ustali, że zapas narkotyku miał pan przy sobie przed strzałem. A teraz proszę siadać.

Doyle usiadł. Matka dziewczyny wstała i poszła do lodówki, skąd wyjęła drugą buteleczkę heroiny, którą postawiła na stole.

— Zrób sobie zastrzyk! — rozkazał Jamison.

— Przecież już zrobiłem.

— Jeszcze jeden.

Zdjął marynarkę. Usiadł i przygotował dozę.

— Za mało — rzekł aptekarz. Musiał wypełnić rozkaz.

— Jak się czujesz? — zapytał Jamison. — Czy możesz utrzymać się na nogach?

Doyle wstał z trudem, chwiejąc się.

— Trzeba teraz zrobić trzeci zastrzyk.

— Zabijecie mnie! — jęknął Doyle.

— Właśnie tego pragniemy. Prędzej, rób zastrzyk!

Zrobił w takiej ilości jak mu nakazano.

— Tymczasem wystarczy — stwierdził aptekarz. — Nie trzeba się spieszyć. Napijemy się kawy.

Kobieta przygotowała gorący napój. Doyle łykał chciwie filiżankę po filiżance.

— Teraz wstań i włóż marynarkę.

Doyle z trudem wykonał rozkaz.

— Gdzie jest twój samochód? — zapytał Jamison.

— O kilka bloków stąd.

— Daj mi klucz, rzuć go na podłogę! — Doyle rzucił. Aptekarz złamał klucz szczypcami i położył na stole. Włóż go do kieszeni, jest to dowód dla policji, dlaczego nie pojechałeś autem.

Doyle posłuchał i teraz. Jednego tylko pragnął w tej chwili — oddalić się od tych dwojga.

Kobieta otworzyła drzwi apteki. Jamison wziął go pod rękę i wypchnął na ulicę. — Zakończyliśmy nasze porachunki, teraz musisz liczyć na własne siły...

Doyle znalazł się zupełnie sam na ulicy. Jeżeli umrę — myślał — nikt nie połączy tego faktu z Jamisonami. Zatrucia narkotykami zdarzały się często i policja nie będzie prowadziła dochodzenia. Zresztą znali go dobrze i będą zadowoleni, że się zamkną jego akta.

Apteka znajdowała się w dzielnicy handlowej, nie było tu budynków mieszkalnych. Po zamknięciu sklepu każdy wracał do swego domu. O tej godzinie nie przejeżdżały nawet samochody. Doyle był sam, zdany na własne siły.

Walczył z sobą, żeby nie upaść. Oddychał z trudem, miał zawrót głowy. Musi porozumieć się z przyjaciółmi, na pewno mu pomogą. Lecz najpierw trzeba znaleźć telefon. Poruszał się powoli, zataczając się jak pijany. Każda sekunda życia, którą wygrywał była zwycięstwem.

Wreszcie znalazł się przed kabiną telefoniczną. Wszedł do wnętrza, wyciągnął z kieszeni garść drobnych monet, wrzucił jedną do automatu, reszta wysypała się na chodnik. Nakręcił numer, usłyszał głos szefa: — Hallo!

— Winter, to ja, Herb Doyle. Jestem chory.

— Doyle?... Czy się upiłeś?

— Słuchaj, Winter, musisz mi pomóc, błagam cię! Wstrzyknięto mi przemocą heroinę, jestem pełen trucizny.

— Czy to nasza?

— Nie, ich, czysta.

— Hm, marnie z tobą. Kto to zrobił?

— Jamison. — Wymówił nazwisko z wielkim trudem. — Rodzice Shirley Jamison.

— Mów wyraźniej — niecierpliwił się Winter. — Charlie Jackson? Nie znam takiego człowieka. Nie martw się o niego, jak się pokaże w naszych stronach zajmiemy się nim. Jak długo jeszcze możesz wytrzymać?

— Pięć minut..., może dziesięć. Jeżeli nie przyjedziecie, umrę.

— Rozumiem. Ale najpierw muszę myśleć o sobie, nie mogę zaplątać się w taką sprawę. Ratuj się, jak możesz.

— Winter, Winter! — błagał Doyle, ale tamten już odłożył słuchawkę. Doyle wyszedł z kabiny. Nagle zobaczył, że ktoś za nim idzie. Odwrócił się. — Błagam pana o pomoc — wyjąkał.

Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał na niego z nieufnością. — Upiłeś się? — zapytał.

— Nie, jestem znarkotyzowany, mogę umrzeć, proszę zaprowadzić mnie do lekarza! Zmusili mnie do zastrzyków, z wymierzonym rewolwerem.

— Nie chcę mieć do czynienia z policją — rzekł nieznajomy.

— Panie, umieram! Zapłacę, mam dużo pieniędzy! — Zdrętwiałymi rękami wyciągnął z kieszeni portfel i drobne monety, które rozsypały się po chodniku. — Tylko sprowadź mi lekarza!

Nieznajomy oburzył się. — Tobie potrzebny jest szpital, a ja nie mogę iść z tobą, tam zawsze kręci się pół tuzina platfusów. Znają mnie tam, a dziś mam na ramieniu świeże znaki zastrzyków. Ucieszyliby się, gdyby mnie złapali — i to jeszcze z tobą w takim stanie.

Nagle zbliżył się do Doyle'a i wyrwał mu z rąk pieniądze. Potem odwrócił się i uciekł. Nastąpiła zupełna cisza.

Doyle posuwał się dalej, czuł, że za chwilę upadnie i nie wstanie już nigdy... Policja... Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej! Powinien był ją wezwać natychmiast, po rozmowie z Winterem. Nie mogą odmówić mu pomocy, to ich obowiązek.

Ucieszą się, że im dostarczy dowodów używania narkotyków, przesiedzi w więzieniu kilka lat lecz uratuje życie. I zemści się...

Kabina telefoniczna znajdowała się niedaleko, musi tam jeszcze dowlec się. Czy ma jednak drobne pieniądze? Zatrzymał się, poszukał w kieszeniach... Nie było ani jednej monety.

Osunął się powoli na ziemię. Nie czuł już bólu.

A. S.

Lewym okiem

IDŹ I PODPISZ TĘ UMOWĘ!...

Znam pewną uroczą miejscowość w głębi lasów, nad pięknym jeziorem, dwie godziny z hakiem od Warszawy i tyleż samo od Łodzi. I oto czytam ogłoszenie właścicieli willi w tej miejscowości, którzy wynajmują na lato pokoje z pełnym wyżywieniem po 890 złotych od osoby za dwa tygodnie, czyli około 64 złotych dziennie. Z tego na pewno coś tam wpłacają jako podatek, reszta musi im dawać zysk, musi opłacić konserwację domu, koszty wyżywienia i niemałą przy tym wszystkim pracę.

Czytam też w „Kulturze", że państwo jako mecenas literatury i sztuki dofinansowuje dwa tak zwane domy pracy twórczej, prowadzone przez Związek Literatów. Sam twórca płaci około 70 złotych. Dofinansowanie wynosi około miliona złotych rocznie, a miejsc w obu domach razem jest 39. Łatwo obliczyć że przy pełniutkim obłożeniu wszystkich miejsc jąk rok okrągły dopłata ze strony mecenasa wynosi 71 złotych dziennie od osoby, oprócz tych siedemdziesięciu, które osoba płaci sama.

Aż się prosi o wniosek, żeby mecenas puścił domy pracy twórczej w prywatną ajencję, jak to się dzieje z deficytowymi knajpami i stacjami benzynowymi. Kto wie, czy za ten sam milion złotych, bez obciążania etatów państwowych, funduszów płac, kontroli, planowania i sprawozdawczości nie mogłoby pracować stu twórców, zamiast czterdziestu? I może nie czuliby się „jałmużnikami", jak Bohdan Czeszko w Oborach, bo prywaciarzowi — wiadomo — musi się opłacać, laski nie robi...

A dla odmiany z innej beczki: producenci wszelakich dóbr rynkowych skłonni są z łatwo zrozumiałych względów wytwarzać te artykuły, za które można załapać lepszą cenę. Taka ich natura i to właśnie ta cecha powoduje, że producent wymyśla coraz to coś nowego, albo wymyśla modę — co tydzień inną — i odpowiednio ustala ceny na wyroby w danej chwili szałowe. Jest w tym normalna i nawet pożądana prawidłowość ekonomiczna.

Jednocześnie jednak w państwie, które wzięło na siebie obowiązek obrony słabszej finansowo części społeczeństwa, muszą istnieć urządzenia, które gwarantują, że na rynku nie zabraknie także artykułów pierwszej potrzeby tanich, dostępnych dla ludzi o niskich zarobkach. Jakie to mają być urządzenia, żeby zmusić przemysł do produkowania wyrobów tańszych?

Na razie, zgodnie z panującą zasadą preferowania bodźców negatywnych przed pozytywnymi, czyli działania strachem, ustalono, że za najmniejsze wahnięcie w realizacji umów, zawartych na dostawę artykułów tańszych, producent płaci odbiorcy potrójną karę. Najpierwszy odruch producenta w tej sytuacji będzie oczywiście taki: wszelkimi siłami i sposobami bronić się przed zawieraniem umów na towary tańsze. Wykręcać się. Kwestionować samo pojęcie, potem listę takich artykułów — bo musi być lista, skoro ma istnieć kryterium dla ustalania wysokości kary. Kwestionować prawo do jednostronnego ustalania takiej listy przez handel, który — to zrozumiałe — chętnie inkasowałby dziesięciokrotne kary od wszystkich dostaw. Inaczej mówiąc: producenta trzeba zmusić administracyjnie do włożenia głowy pod młotek, a potem stukać go tym młotkiem — już teraz ekonomicznym — przy lada okazji.

Czy mogły istnieć rozwiązania inne? Znów marzą nam się bodźce pozytywne, zachęcające, zamiast straszących: może by na przykład zmniejszyć marżę hurtową na rzecz przemysłu przy artykułach tańszych? Może zwiększyć jednocześnie marżę detaliczną przy pomocy dotacji z funduszów, zarobionych na szałowych nowościach? Może by listę takich artykułów wymyślił jakiś czynnik mądry a obiektywny spoza przemysłu i handlu, na przykład GUS, albo „Opinia", albo Związki Zawodowe?

To przecież oczywiste, że człowiek omija trudniejszą drogę, a wybiera łatwiejszą. Jeśli się komuś powie: jak pójdziesz tamtędy to dostaniesz po głowie, to tylko ludzie nietypowi pójdą tamtędy ochoczo, inni siłą będą się bronić. Jak podpiszesz umowę na artykuły tańsze, to wszelkie związane z nią sankcje będą trzykroć ostrzejsze. A teraz idź i podpisz tę umowę...

Może to jest złe myślenie, sam już nie wiem. Jedno mam tylko w jego obronie: jest własne. Wybaczcie.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastęp ca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres red akcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopi sów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1844. S-10.